

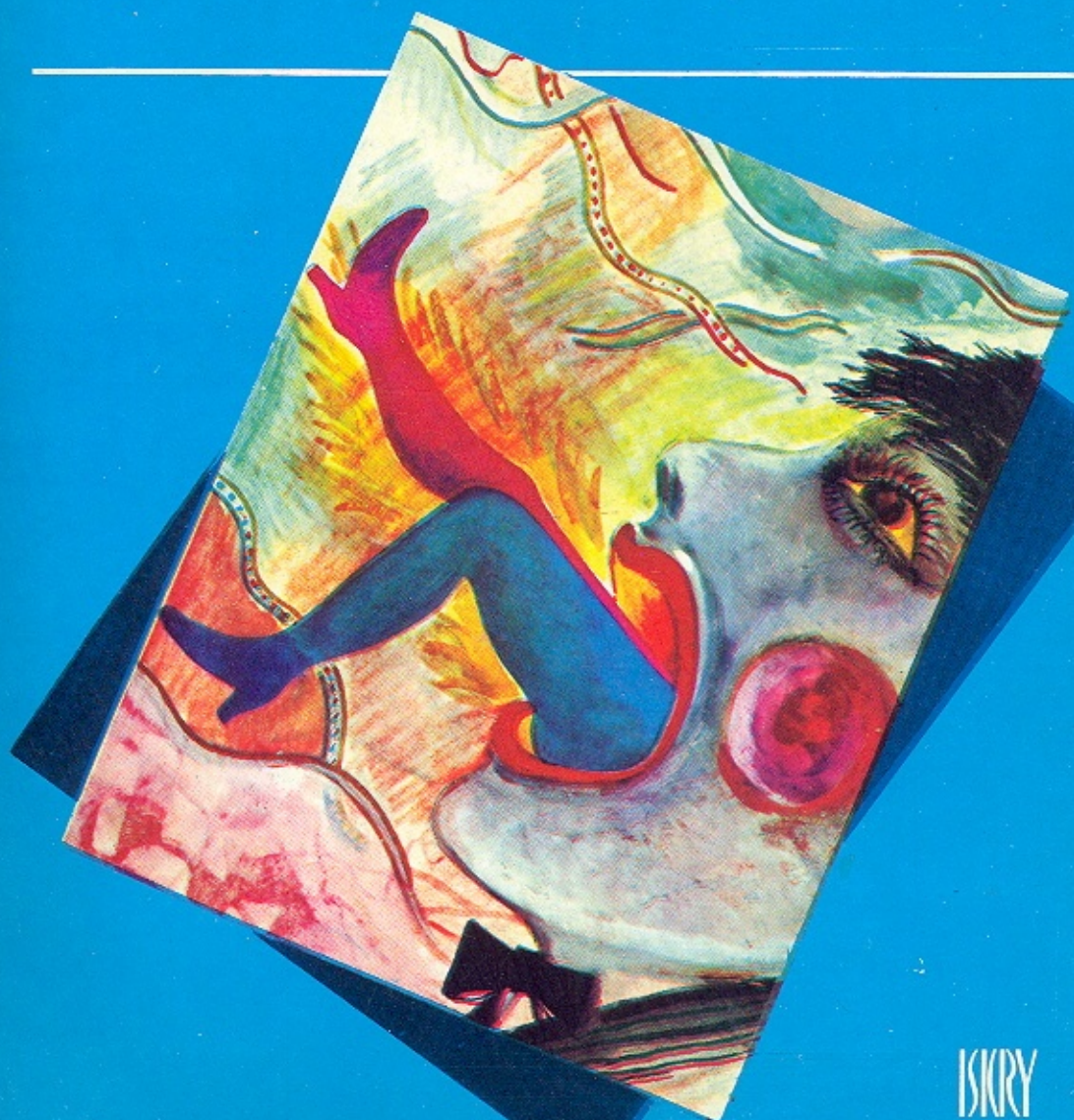
II nagroda w konkursie „Iskier”
na opowiadanie sensacyjno-kryminalne

... *Ewa wzywa 07...*



Andrzej Strzelczyk

SKOK



ISKRY

— Panowie! — lekko stukam drewnianym młoteczkiem w stół. — Syndykat Zbrodni wznawia swoje obrady. Zgodnie z uprzednio przyjętym programem prac, temat na dzisiaj to broń. Jeśli nie będzie wniosków porządkowych, przystąpimy do części merytorycznej. Kto z panów zechce się wypowiedzieć?... Ponieważ nikt się na razie nie zgłasza, pozwolę sobie zabrać dziś głos pierwszy: konieczność posiadania broni palnej celem wykonania operacji została przez nas w zasadzie już ustalona...

— Panie przewodniczący — przerywa Grzegorz — pozwolę sobie jednak przedstawić pana uwadze wniosek formalny: czy nie moglibyśmy w trakcie dyskusji wypić następnej kolejki?

— Jeśli nie będzie zastrzeżeń... Nie widzę, nie słyszę. Rafał, zrealizuj wniosek... Powracam do meritum: otóż chciałbym uściślić, że przez broń w tym wypadku rozumiemy wszyscy broń krótką. Stanowi ona optymalne narzędzie przy większości dających się wyobrazić operacji.

— *Ad vocem* — wtrąca się Rafał — proponowałbym nie tracić czasu na truizmy.

— Jest to raczej wniosek formalny niż występowanie *ad vocem*, ale uwagę przyjmuję. Chciałbym teraz, uznawszy zalety tej broni, przedstawić związane z nią niedogodności. Otóż wejście w jej posiadanie oraz przechowywanie jej stanowi odrębne przestępstwo, zagrożone represją karną. Następnie, napad dokonany przy jej użyciu również wyczerpuje odrębną kwalifikację prawną.

— Ponawiam wniosek, jak najbardziej formalny, by pan przewodniczący nie mówił rzeczy oczywistych!

— Tym razem uchylam wniosek, gdyż

to, co mówię, służy uzasadnieniu propozycji, którą za chwilę zgłoszę. Uprzedzam jednakże inny wniosek porządkowy i proszę o nalanie do kieliszków... Panowie, przedstawiam więc istotę mojego pomysłu. Polega on na użyciu środka, który w wystarczającym dla nas stopniu spełnia wymagania stawiane broni krótkiej, nie ma zaś związanych z nią wad. Tym środkiem jest pistolet gazowy, będący jednocześnie straszakiem i atrapą normalnego pistoletu.

— No dobrze, Rysiu, ale czy idzie to kupić?

— W kraju chyba nie bardzo, zresztą bałbym się szukać — odpowiadam. — Na Zachodzie masz tego do cholery w każdym sklepie myśliwskim. Po kilkadziesiąt dolarów. Tyle moglibyśmy chyba zainwestować.

— A przywieźć?

— To by się dało załatwić — odpowiada Grzegorz. — „SCENTIA” może wysłać swoją wystawę na Zachód. Rozebrałoby się te pistolety i wsadziło do jakichś aparatów.

Ja:

— Proszę panów, teoretycznie można by przewieźć te pistolety legalnie. Niemniej jednak nie należy tego ujawniać.

— Chwileczkę — odzywa się Rafał — wydaje mi się przedwczesne przechodzenie do szczegółów technicznych, związanych z operacją, traktowaną ciągle jako wariant alternatywny dla osiągnięcia naszych celów, przed rozpoznaniem innych środków. Mam na myśli choćby uczciwą pracę...

— Uczciwa praca?! — wybucham. — Znasz może, Rafał, uczciwą pracę dla fachowca po studiach, który się nie boi roboty i nie ma dwóch lewych rąk? Ale taką, żeby w dziesięć lat po dyplomie nie mie-

szkał w koszmarnym mrowiskowcu, żeby się nie gniótl z rodziną w skorodowanym maluchu, który ma limit benzyny na trzydzieści kilometrów miesięcznie, żeby mógł pojechać raz z rodziną nad Morze Czarne i nie musiał handlować...

— Poczekaj, Rysiek — przerywa mi Rafał — bo ja mam pytanie za więcej punktów. Znasz może taką pracę, dla takiego samego fachowca, żeby mógł mieszkać nawet w mrowiskowcu, ale tylko z żoną i dzieckiem, a nie u teściów i żeby nie musiał przed każdym pierwszym pożyczką na wieczne nieoddanie od starych? Już nie powiem, żebym mógł uskładać te ćwierć miliona, by kupić takiego trupa jak twój maluch i pojechać nim z rodziną chociaż pod namiot...

W tym momencie Grzegorz kończy rozlewać, odstawia prawie już pustą butelkę i mówi:

— Panowie, raczej wypijmy i już nie pieprzcie tak dłużej. Trzeba coś zrobić albo pomówić na inny temat!

— No, to co proponujesz, Grzesiu?

— Skok!

— Właśnie o tym mówimy.

— Pieprzmy. A jednocześnie chciałem panu przewodniczącemu zwrócić uwagę na bezcelowość zgłoszonej przezeń propozycji, jako że wspomniane pistolety gazowe są już w Polsce i mogą być przez nas użyte!

— Teraz robię to za pieniądze. To nawet miłe, że po tylu latach możemy od razu mówić jeszcze szczerzej niż wówczas.

— Fakt, wówczas byłaś bardzo wstydlivą panienką.

Uśmiecham się głupkowato, ale ona tego nie widzi, bo patrzy nad kierownicą swego golfu. Ropniak, psiakrew, model najdalej z zeszłego roku. Myślę, że może to zgrywa z tymi pieniędzmi. Ma jakiś butik czy męża w firmie polonijnej albo też w handlu zagranicznym. Wewnętrznie jednak już wiem, że to prawda.

— Wygląda, jakby cię zamurowało. Ja się nie wstydzę. Ale nie musisz ze mną rozmawiać.

— Ależ nie wygłupiaj się, Lena — i ja-

koś ni z tego ni z owego gładzę ją przyjacielskim gestem po szaropopielatych, bez wyraźnego koloru włosach. Przyjmuje z uśmiechem to dotknięcie.

— Wiesz, że byłaś moją pierwszą miłością, chociaż nie pierwszą dziewczyną?

— Masz u mnie lepsze notowania. Byłaś pierwszą miłością i pierwszym mężczyzną w moim życiu, nawet jeśli tego nie potrafiłeś zauważyć...

Potrąfiłem, ale to właśnie było mało zachęcające. Zostawiłem ją prawie piętnaście lat temu dla jakiejś cycatej dziewczyny, która robiła to bez porównania lepiej niż skromniutka, cichutka Lena. Mnie chyba nie lubiła, lecz w przeciwieństwie do Leny bardzo lubiła tę robotę. Bardziej mi wtedy zależało na tym chojrackim, bezproblemowym seksie, niż na Lenie, z jej oporami i uczuciem, za którym już czaiła się na mnie odpowiedzialność. Właśnie kończyłem 21 lat. Żenić się tylko dlatego, że wiek już pozwala? A długiego narzeczeństwa z Leną, po tym, jak byliśmy już ze sobą, jakoś nie mogłem sobie wyobrazić. Byłoby to zbyt dla niej krzywdzące — myślałem — więc dałem po prostu nogę, nie mówiąc dziewczynie ni słowa.

— Byłam nawet przykłądną małżonką przez parę lat. Potem żyłam z innym człowiekiem. Ta profesja, to ostatnie trzy, cztery lata. Nie sądzę, bym robiła coś złego. Są usługi, też pożyteczne, a jeszcze bardziej chyba przykre w dotyku. Ktoś musi usuwać śmieci, myć zwłoki.

— Żadna praca nie hańbi — mówię, by coś powiedzieć.

— Dobrze, jeśli tak sądzisz, choć nie lubiłbyś śmieciarza czy rakarza za swoim stołem. Ale jak się niedotykalnym choć dobrze płaci, to już jest trochę sprawiedliwosci.

— A jaka jest sprawiedliwosc, jak się przepłaca?!

— No, wreszcie mówisz, co myślisz naprawdę.

Stoimy pod światłami. Lena zdejmuje z gazu wypielegnowaną stopę w sandańku z misternie plecionych rzemyków, a z kierownicy — dłoń z pięknym starym pierścieniem z pociemniałego srebra. Zwraca

do mnie pogodnie uśmiechniętą twarz. Widać, że się naprawdę nie gniewa.

— Mnie nie przeszkadza, Rysiek, jak ktoś mi wypomina, że jestem dziwka. A że zarabiam więcej niż pęczek profesorów zwyczajnych, to jestem dumna. Nie ja im wyznaczałam uposażenia, a swoją stawkę wypracowuję sama. Nie lubię tylko, jak ktoś robi taką minę, że niby nie ma sprawy, my postępowi ludzie, a wewnątrz nie się jeży. Bałam się, że też taki będziesz i chwilę myślałam, czy przyhamować, gdy cię zobaczyłam przy krawężniku.

Z tyłu ktoś na nas zatrąbił i Lena ostro ruszyła. Pomyślałam, że jej gabłota ma dobrego kopa jak na diesla. Chciałem spytać czy to turbo, ale mi jakoś nie wypadało.

— A ty nie masz wozu czy benzyny, że łazisz piechotą po tym zadupiu?

— Benzyny. Ale wozu też jakbym już prawie nie miał.

— Rozumiem. Sama to przeżywałam parę lat temu.

— Poradziłaś sobie. Ja nie mam tych możliwości.

Roześmiała się.

— Masz pewnie inne. Zresztą nie znamy swych możliwości, dopóki się ich nie spróbuje. Rysiek! Ja cię muszę zaraz wysadzić, tylko pokombinuję, żeby dojechać i stanąć na czerwone. Otwórz moją torebkę i weź wizytówkę. Zadzwoni i wpadnij na dłużej, jeśli naprawdę zechcesz.

W torebce, prócz wizytówek, dokumentów i typowych damskich drobiazgów klebiły się zielone przeważnie banknoty: nasze frycki i cała galeria prezydentów USA. Czyżby to była demonstracja z jej strony?

— No, pryskaj, stary, bo zaraz zielone.

Lena całuje mnie w policzek, ja odkładam jej torebkę, znów gładzę ją po włosach i wyskakuję z golfa. Niby takie naturalne te nasze gesty, a jakby również demonstracyjne. Przyjemna jest poufałość z taką kobietą, a jej to chyba jednak potrzebne. Zamykam za sobą drzwi. Uśmiechamy się do siebie z Leną i machamy rękoma, ale już słychać jakiś przeraźliwy, zachrypnięty klakson. To trąbi poszarzały na gębę z wściekłości nie-

ciekawy facet w średnim wieku, za kierownicą rozpadającego się ze starości malucha. Śmieję się rozbawiony, zwłaszcza że facetowi, który chciał ostro wystartować zaraz za Leną, gaśnie silnik i teraz na niego trąbią, kiedy z wściekłością i rozpaczą usiłuje zapalić.

I wtedy zdaję sobie sprawę, że przecież to jestem również i ja, w swoim wozie, ze swoją codzienną frustracją.

Wysiadam na końcowym przystanku, więc już jakby odrobinę wypoczęty po tłoku, który się rozładowuje w czasie przejazdu przez osiedle Targówek. I wtedy zawsze przeżywam wahania: przeciąć bilet czy nie? Tak jakoś byłem wychowywany, by zawsze płacić, przecinać, okazywać. Odkąd jednak normalny kosztuje dziewięć, przyspieszony osiemnaście, a pospieszny aż dwadzieścia siedem złotych, coś się we mnie buntuje. Postanawiam sobie, że przynajmniej za jazdę w bydłych warunkach nie płacę. Tym bardziej że kanary w takim tłoku nie pracują. Kiedy jednak robi się luźno...? Niestety, jazda autobusem także powoduje we mnie frustrację.

Zakończenie — nie mniejszą. Półkołem stoją wielkie szare bloczyska. Setki okien, tysiące ludzi. Po trzech latach dopiero zacząłem już z przystanku bezbłędnie różnicować swoje mieszkanie.

Pstrokacizna balkonów. Każdy coś tam dobudowuje na swoim, innym kolorem przetyka pręty. Z bliska widać wielkie, szare, tak zwane żerańskie cegły, wszystkie ułożone krzywo i niechlujnie. Jakieś powykręcane, przekrzywione, wysunięte albo wepchnięte w głąb. Niby to nieważne, bo kiedyś przykryje się je tynkiem, lecz domy stoją już ósmy rok. A jak w końcu zaczną tynkować, to przez rok będę miał rusztowania za oknami i zachlapanie szyby.

Mijam swojego malucha, który będzie tu już stał chyba do końca kwartału. W baku jest mniej więcej pięć litrów i trzeba je zachować na jakiś nagły przypadek. Dodzwonić się bowiem stąd, z automatów przy drzwiach wejściowych do

bloków trudno. Zwłaszcza w niedzielę, gdy są już zapchane monetami. Na pierwsze podanie o telefon, poparte jeszcze przez uczelnię, przyszła odpowiedź, że „nie wcześniej niż po roku 1985”. Na drugie, z listem dyrektora „SCENTII”, w którym sam wypisałem (szef tylko podpisał), jakie straty poniesie nauka i gospodarka, jeśli nie będę miał telefonu, odpowiedziano, że „rozpatrzy się po roku 1990, jeśli będą możliwości techniczne”. Mam dziś parę telefonów do załatwienia, lecz teraz przy automacie kolejka na 30—40 minut, widać sąsiedni zepsuty. Zejdę wieczorem.

Przez chwilę myślę, czy nie mam czegoś kupić do domu, ale i tak Zocha mnie po coś wygoni, gdy na osiedlu są największe kolejki. Lecz wolę wyjść i postać w kolejce niż słuchać jazgotu Zochy.

W domu jest znośnie tylko rano, kiedy jedzie do klubu, w którym pracuje, a obaj chłopcy idą do szkoły na ósmą, ale tak jest jedynie dwa dni w tygodniu. W szkole uczą się na trzy zmiany, taki jest tłok.

Do brudu i niechlujstwa klatki schodowej i windy już się jakoś przyzwyczaiłem. Choć przeraża mnie taki sam brud i niechlujstwo, gdy wchodzę do nie swojego bloku. Tym razem winda akurat nie zepsuta, tylko na dole kolejka do niej. Wszyscy akurat wracają.

Jeszcze za drzwiami słyszę podniesiony głos Zochy. Ta kobieta już prawie nie mówi normalnie. Albo zrzędzi, albo się drze. Tym razem pewno na Zdziśka, bo Stefan dziś o tej porze w szkole. Jak wejść, to i mnie się dostanie.

Więc wchodzę i zaraz pytam, co trzeba kupić. To jej nieco weksluje myśli! Wychodzi, że mam do odstania w spożywczy, przy kiosku warzywnym i w „Ruchu” albo w mydlarni. Jak wrócę, to i tak sobie jeszcze o czymś przypomni. A jak powiem, że mogła powiedzieć od razu, zaczyna wrzeszczeć. Czasami, szczególnie jak jestem dłużej poza domem, to ją rozumiem i nawet żal mi jej. Lecz gdy tak wrzeszczy, mam chęć ścisnąć ją mocno za gardło i patrzeć, jak rusza ustami i nie może wydać z siebie dźwięku.

Wreszcie jest po wszystkim. Kupione, przyniesione, zjedzone, sprzątnięte. Zdzi-

siek wychodzi na religię, Stefan wraca i siada do odrabiania lekcji. Zocha musi wracać do klubu, bo jest tam zebranie i ma je protokołować. Zazdrosny mąż może by jakoś zareagował na to, że przed wyjściem wieczorem udaje się ona do łazienki, lecz ja nie jestem zazdrosnym mężem, a o jej nieobecności w domu myślę z prawdziwą przyjemnością jako o chwili spokoju. Poza tym nie ma gorącej wody. Wyłączyli na coroczny dwutygodniowy przegląd, a nie włączyli jeszcze po trzech tygodniach i nie wiadomo, kiedy włączą. To zresztą i tak pestka, bo w przyszłym roku czeka nas wymiana rur i kaloryferów w całym domu, co mnie przynajmniej zwalnia od myśli o tym, że pora pomalować mieszkanie.

Jakoś się chyba umyła wodą podgrzaną w garnku na gazie. Wychodzi naga z łazienki i ubiera się przy mnie w naszym wspólnym pokoju. Spieszy się widać, więc nie mówi. Gdy ją poznałem, była bardzo wstydliwą panią i długi czas musieliśmy się kochać po ciemku bądź pod przykryciem. I bez „żadnych takich”, ma się rozumieć. Z czasem zaczęło się nam w łóżku poprawiać, dopóki nie zaszła w ciążę.

W tej chwili patrzę na nią bez pożądania, gdy naga biega po pokoju i gromadzi to, co ma włożyć na siebie. W końcu nie tak dużo przy tym upale. Zobojętnieliśmy na siebie. Kiedyś zatykało mnie w gardle, kiedy stopniowo pozwałała mi coraz więcej oglądać, a teraz jakoś oboje nie przydajemy temu znaczenia. Nie przeszkadzają mi jej piersi po dwóch porodach i karmieniach, wygięte plecy i wypuczony brzuch, całe ciało jakby nieco zwiotczałe, dłonie zdeformowane przez pracę i stopy przez stanie i dreptanie. Przeszkadza złość, jaką do siebie czujemy. Gdy jest już ubrana, uczesana, umalowana i w sandałach na wysokich obcasach, wygląda całkiem niczego, co cieszy mnie o tyle, że już za chwilę wyjdzie.

Siedzę wreszcie i myślę o słowie „skok”, którego wczoraj użył Grzegorz. I o tych pistoletach gazowych. Znam go od lat i wiem, kiedy tak sobie gada, a kiedy mówi poważnie.

Tyle że nie ma teraz spokojnego myślenia. Ryczy hydrofor, trzaskają drzwi od windy, z otwartych okien dobiega kachofonia telewizorów i muzyki młodzieżowej. Matki wrzeszczą do dzieci, bawiących się na dworze, dzieci wrzeszczą do matek i między sobą. A do tego piekielnie gorąco. Mimo że siedzę w samych gatkach, ociekam potem. Wszystkie nasze okna wychodzą na zachód, a więc po pracy — piekło. Betonowe klatki, przez większość roku nie do ogrzania, latem parzą i duszą przy szeroko otwartych oknach, przez które — mimo że to nie sezon ciepłowniczy — wchodzi smród i pył z elektrociepłowni Żerań.

Z okien po drugiej, wschodniej stronie budynku widać nie nazbyt gęstą zieleni i wciśnięte w nią bieda-wille Zacisza. Nasze domy to już koniec osiedla Targówek i blokowej zabudowy z tej strony miasta. Jaki by musiał być ten „skok”, żeby się tam przeprowadzić?

Docent doktor habilitowany Edward Waldemar Jon jest człowiekiem o piekielnej inteligencji, niespożytej energii, kolosalnych ambicjach i konfliktowym charakterze. (Ogromna wiedza z zakresu fizyki ciała stałego nie była w przypadku Spółki z o. o. „SCENTIA” istotna). Cechy te sprawiały, że Edek potrafił wymyślić nieprawdopodobne przedsięwzięcia, zrealizować je i skłócić przy tym wszystkich ze wszystkimi i oczywiście ze sobą.

Wszystko to wystąpiło i w naszej firmie, którą docent wymyślił, stworzył i której dyktował już czwarty rok, a przy której piekło wydawało się zabawą przedszkolaków w kotka i myszkę.

W przeciwieństwie do spawacza czy kierowcy z kategorią C, fizyk ciała stałego, naukowiec-eksperymentator nie ma w Polsce zbyt wielu miejsc, w których mógłby spożytkować swoje kwalifikacje. Ma ich dosłownie kilka i we wszystkich Jon był ze wszystkimi śmiertelnie skłócony.

W szerokim świecie było takich miejsc więcej i wszystkie bez porównania lepsze. W wielu z nich Jona znano i chciano, gdyż bardziej tam się liczyły jego kwalifi-

kcje niżli charakter. Lecz wyjazd za granicę byłby zależny od krajowych ośrodków. Musiałby być związany albo z rekomendacją, albo z zerwaniem. Pierwsze rozwiązanie w jego przypadku zupełnie nie wchodziło w rachubę, a drugie też nie, gdyż nie zamierzał on zrywać. Potrzebne więc mu było prestiżowe stanowisko, wymagające aktywności i uzasadnione jego statusem naukowym. Przy czym szanse przetrwania dawało mu tylko kierowanie tym przedsięwzięciem. Takie było tło zorganizowania „SCENTII”.

Idea zaś była taka, że Edek nie może w Polsce kontynuować kariery, bo nie ma czym eksperymentować. Nie tylko na jego „działce”, lecz we wszystkich naukach eksperymentalnych sytuacja jest taka sama.

— Państwo — powtarzał Edek — naukę, owszem, ceni, lecz z cennych rzeczy może dać tylko Złote Krzyże Zasługi, pod warunkiem, że złoto będzie amerykańskie. To znaczy z tombaku — dodawał, bo sam był bardzo inteligentny, ale nie wierzył w inteligencję innych.

„SCENTIA” będzie więc sprzedawała producentom uspołecznionym i nie, a także za granicę to, co z osiągnięć nauki da się praktycznie zastosować. Zarobią instytucje naukowe, ale i biedni naukowcy pogrzeją ręce przy pracach zleczanych przez „SCENTIE”. Jednocześnie zaś będzie ona inspirować, zamawiać i odbierać różne ustrojstwa, które są tej nauce potrzebne. Sp. z o. o. „SCENTIA” stwarza najrozmaitsze możliwości — takie miało być hasło firmy.

To nieprawdopodobne, lecz Edek zmusił kilka ogromnych, nieruchawych instytucji naukowych bardzo znacznego kalibru, by założyły tę spółkę. Przypuszczam, że dyrektorzy poszli na to dla świętego spokoju, bo zdali sobie sprawę, że docent Jon im już nie popuści.

Wszystko się jakby sprawdziło. Przez spółkę faktycznie przechodzi jakaś aparatura *very sophisticated*, więc wystawa nasza w kraju i za granicą wygląda bardzo imponująco. W każdym razie dla mnie, bo ja się znam może na pięciu procentach tego, czym obracamy. Każdy nowy pro-

totyp cieszy Edka nad wyraz i na prototypie prawie zawsze się kończy. Skala tej działalności jest bowiem bardzo niewielka. Prawdziwe pieniądze natomiast tłuczemy na nieskomplikowanej galanterii laboratoryjnej, też zresztą bardzo potrzebnej. Jakieś sączki, próbówki, podkładki, uchwyty i takie różne. Robią to zaś rzemieślnicy, którzy lubią pracować hurtowo dla jednostek gospodarki uspołecznionej, a taką przecież jesteśmy.

Te setki milionów, jakimi już „SCENTIA” obraca, robią imponujące wrażenie, bo to ogromna dynamika wzrostu i skala jak na tę spauperyzowaną dziedzinę dość duża. Tak więc Jon jest człowiekiem sukcesu, odpowiednio honorowanym, bo niczym interesom to nie zawadza. To, że przy potrzebach nauki nie jest to żadna licząca się wielkość i to, że przy takim rozproszeniu nie rozwiązano przy naszej pomocy żadnego problemu — nie ma większego znaczenia.

Jest tylko jedna słaba strona docenta. Tak delikatna, że nawet przy najdzikszych awanturach i ordynarnych wymyślaniach, również pod jego adresem — na tym odcinku panuje u nas równość — nikt mu tego nie wypomina. Otóż w jego dziedzinie i w jego wieku, a jest o dychę starszy ode mnie, po paru latach przerwy w uprawianiu nauki nie ma już do czego powracać.

Rafał jest z naszej trójki najmłodszy, więc musi biegać po flachę. Po minucie rozmowy któryś z nas pierwszy podnosi palec wskazujący do góry, a po nim drugi i trzeci. Grzegorz był kiedyś na dłuższej praktyce w Moskwie i tam podpatrzył ten zwyczaj w sklepach spożywczych — jak trzech obcych mężczyzn umawia się na wspólny zakup butelki. To znaczy umawiało się, do Gorbaczowa. Tam jednak przez długie lata wyjmowano po rublu, a my teraz dajemy po trzy i pół setki od twarży.

W firmie Edek pić nie pozwala, więc idziemy do Grześka, Rafał wyskakuje po te pół litra, a my od razu na metę. Kobieta, z którą Grzegorz mieszka, pracuje na drugą zmianę, więc do dziesiątej lokal

jest wolny, a przed dziesiątą musi być pusty. Ona — nie użył nigdy imienia — nie może nikogo zobaczyć. Jej też nikt z nas nigdy nie widział, choć przecież Grzegorz to stary kumpel. Zналиśmy jego żonę, z którą się rozszedł, i parę przelotnych romansów.

— Albo się boi, by mu jej koledzy nie poderwali, albo ma powody, by się jej wstydzić — powiedział mi kiedyś Rafał.

Grzegorz mieszkał w centrum, niedaleko firmy, więc było bardzo poręcznie. Mieszkanie mieściło się w secesyjnej kamienicy. Była to wykrojona połówka dawnego wielkiego mieszkania, mająca prawie sto metrów. Mozaikowe parkiety, sztukaturka na ścianach i na suficie, rzeźbione drzwi, ozdobne klamki miedziane, wymyślne kaflowe piece. I stare bogate meble, wstawione tu chyba zaraz po postawieniu budynku.

— Nie jestem tutaj u siebie! Rozumiecie? — odpowiadał na nasze nieopatrne zachwyty.

— Wiesz, Grzegorz — mówię. — Nie chcę wchodzić w twoje sprawy osobiste...

— Bardzo dobrze. To nie wchodzi!

Mieszkanie przypominało „Desę”, tyle tu było wszystkiego, lecz kupa rzeczy była już poniszczona. Wszystkie zabytkowe meble wymagały pilnie remontu. Obrazy i stara broń — konserwacji. Ściany były brudne w najwyższym stopniu. I łatwo się było domyślić, że ten stan to nie z abnegacji, lecz z biedy. Zawsze bowiem wszystko było na swoim miejscu, podłoga czysta, kurze wytarte. Gospodyni przy jakichś swoich wadach była zapewne schludna.

— Nie wiem jak wam, panowie — mawiał — lecz mnie biedowanie znudziło się już doszczętnie. Nie bardzo też mogę czekać.

— Nie przesadzasz aby troszeczkę, Grzesiu? — spytałem. — Czyżbyś już schodził śmiertelnie?

— Czterdziestka przewalona, chłopcy. Kończy się dekada szczytowych możliwości w życiu mężczyzny. W tym momencie ma on mieć już poważną pozycję życiową i zawodową, a nie być ciągle błaznem przy błaźnie. I ma być, do jasnej cholery, dorobiony. Nie muszę być krezusem, ale

powiniennem mieć swój dom, nadający się do mieszkania, sprawny samochód i parę groszy, by móc się poczuć u siebie przynajmniej w Warszawie, jeśli już nie w Paryżu czy w Nowym Jorku. Muszę wiedzieć, że mogę kupić jakiś mebel, kiedy mi się podoba i wyskoczyć z dziewczyną na trzy dni...

— ... kiedy mi się spodoba — dokończył Rafał, który z przyniesioną półlitrowką słuchał w proggu perory Grzegorza.

Kłótnie w „SCENTII” wybuchały na różnym tle, lecz ich przyczyną były przeważnie pieniądze. Jon akurat nie był pazerny na forszę. EWJ („i dablui dzej” — lubił, gdy go tak nazywano) był motywowany inaczej. Pociągało go poczucie ważności, powszechna uwaga, możność podejmowania decyzji, rządzenia ludźmi, ruch wokół siebie. Ale to wszystko firma „SCENTIA” zapewniała tylko swemu dyrektorowi.

Zresztą nas wszystkich poza nim naprawdę nie pociągały te błyskotki. Nam chodziło w tej firmie o szmal.

— To będzie prawdziwy biznes — powiedział z początku Jon. — W duchu reformy, rzecz jasna, ale wybiegający do przodu. Żadnej biurokracji i stawek! Żadnej „dobrej płacy za dobrą pracę”, lecz zasada: „Zarób na firmę i siebie”. I niech ci Bóg pomaga w walce z fiskusem!

Oczywiście gie z tego wyszło. Przepisy są takie same dla wszystkich. Zaczęto się od prac zleconych, przy których najpierw patrzyliśmy tylko, ile to dla nas warte i za ile człowiekowi będzie się opłacało szybko i dobrze je zrobić. Tak było do pierwszej kontroli. Wtedy zaczęliśmy wyciągać dawno zamknięte sprawy, prosić na rozmowy zleceniobiorców i ustalać, ile też może wynosić ich stawka godzinowa, zważywszy na stopień naukowy i stopień skomplikowania sprawy (to znaczy: na ile można ją w sprawozdaniu skomplikować) oraz jaką największą liczbę godzin można przypisać do tej roboty oraz jak te godziny powtykać w kalendarz, by został ludziom czas przynajmniej na sen. Całe powietrze uszło z nas po tej akcji. Już wie-

dzieliśmy, że nie przeskoczmy i będzie u nas jak wszędzie.

EWJ rychło się zorientował, skąd mu zagraża niebezpieczeństwo. Wzmocnił księgowość i zaczął pilnować, by go nie oskarżono, że toleruje kominy. Wprowadził cichy limit, ile rocznie może u nas zarobić adiunkt, ile profesor zwyczajny, a ile — my. Założył, że będzie spokój wokół firmy, jeśli łącznie z premiami, nagrodami, trzynastkami nie będzie się w skali roku przekraczać dwustu procent podstawowego uposażenia (wliczając oczywiście owo uposażenie). Fakt, że mam dwa razy więcej, niż bym miał na uczelni, ale za cztery razy więcej pracy. Zresztą trudno jest pracą w „SCENTII” skwantyfikować. Bałagan i niekompetencja plus koszmarna ciasnota, nieustanny rejwach — wszystko to sprawia, że każdy jest wypluty i nie bardzo wie, czego też właściwie dokonał. Więc Edzio ustalał według swego widzimisię, skrytego za jakimiś skomplikowanymi algorytmami, w których nie mogliśmy się połapać. A w rezultacie było mało pieniędzy i dużo o nie hałasu.

Niemniej jednak na każdym naszym firmowym papierku ponad nagłówkiem widniał wydrukowany kolorową kursywą napis: *Sp. z o. o. „SCENTIA” stwarza najrozmaitsze możliwości.*

— No, to zreasumujmy — powiedział Rafał. — Nie interesuje nas znalezienie pracy, gdzie moglibyśmy zarobić o dziesięć, piętnaście czy nawet dwadzieścia tysięcy więcej.

— Czyżby, Rafalku? — pytam. — Ciebie z twoimi szesnastoma?

— Wyobraź sobie, że nie. Co mi to rozwiązuje? Że nie będę brał od rodziców przed pierwszym. Wszystko inne zostanie bez zmian, a zwłaszcza to, że będę mieszkał z teściami. To jeden wariant. Drugi, że wynajmę za to sobie w mieście pokój przy obcej rodzinie albo też kawalerkę na Tarchominie, skąd będę dwie godziny jechał na uczelnię i nadal brał pieniądze od starych. Nawet podwojenie moich i waszych zarobków — rozumiecie: podwojenie! — nie zmienia sytuacji życiowej, nie

daje nam wyższego statusu materialnego.

— Dobra. Idziemy dalej. Emigracja?

— W moim przypadku nie wchodzi w grę — mówi Grzegorz. — Jest ktoś, kim muszę się tu opiekować, a kto nie może wyjechać. Nikt mnie w tym nie zastąpi.

— Ja nie chcę wyjeżdżać — to Rafał — lecz jeśli do niczego tu nie dojdziemy, to będę musiał. Nie chodzi o to, że ja nie mogę żyć bez mieszkania i w biedzie. Ja tak pracować naukowo także nie mogę.

— Ja — mówię — pracownikiem naukowym już chyba nigdzie nie będę. Na Zachodzie mogę zostać fizycznym, ale...

— ... nie chcesz się deklasować.

— Nie chcę, ale nie to jest najważniejsze. W moim wieku na start od zera trochę za późno.

— Na miejscu każdego z was już by mnie tutaj nie było. Nie wytrzymuję — rzuca Grzegorz.

— Czego nie wytrzymujesz?

— Wszystkiego. Brudu, bylejąkości, tandety. Tego, że nic do niczego nie pasuje. Że wszystko dookoła to substandard. Zarcie, domy, ubrania, nawierzchnie, telefony! Że wszystko jest stale popsute, że na nic nie można liczyć. I to przez całe moje życie, już ponad czterdzieści lat, a robi się coraz gorzej. Mam konstruktorski typ psychiki. Ja się nie popisuję. Nie ma czym. To kalectwo!

Ja:

— Spokojnie, Grzesiu. To nie wiec, ale rzeczowa dyskusja. Więc podwyżki w granicach stu procent — rozpatrzone. Emigrację przerobiliśmy też. Co dalej, Rafał? Prywatny biznes?

Rafał:

— Wy macie z tym do czynienia w „SCENTII”.

— Syf i malaria — wypowiada się Grzegorz. — Żeby teraz cokolwiek ruszyć, trzeba mieć co najmniej kilka milionów. Parę lat temu, w osiemdziesiątym drugim i trzecim, niektórzy startowali z dobrym pomysłem, bez kapitału. Ale myśmy ten czas zmarnowali, zakładając firmę *ad maiorem gloriam „SCENTIAE”*.

— Co teraz stałoby na przeszkodzie?

— Teoretycznie nic, praktycznie — wszystko. Na jedno władza ci nie da już

zezwoleń, na inne jest już rynek zajęty. Ilu akwizytorów od urządzania wnętrz odprawiasz od drzwi tygodniowo?

— Grzegorz ma rację — mówię. — Ktoś, kto już jest w prywatnym biznesie, ma szansę utrzymania się w nim czy przeczekania przez jakiś czas. Nowy nie ma co szukać. Chyba że ma wyjątkową siłę przebiccia, jakieś niezwykle chody, albo bardzo duże pieniądze. Nikt z nas nie ma tych możliwości.

Rafał:

— Szkoda.

Grzegorz:

— Proponowałbym na tym zamknąć dyskusję o prywatnym biznesie. I to zamknąć wnioskiem formalnym.

— Jakim?

— Żeby nie wracać już więcej do tego tematu. Chyba że zmieni się coś. Inaczej tracimy czas.

Ja:

— Cóż z nim możemy lepszego zrobić?

Grzegorz:

— Pić w milczeniu, gadać o dupach lub rozważyć inne, konkretne możliwości poprawy naszego losu.

Ja:

— To już chyba następnym razem, bo pół litra ekspirowało.

Grzegorz:

— Robimy następną ściepkę, a jak nie macie, to ja zakładam.

Podobno szuler nigdy się nie dorabia majątku. Wszystko, co zarabia na kartach, wydaje na konie, gdzie gra już ucziwie. Musi sprawdzić, czy bez szachrajstwa dałby sobie radę, czy los byłby dla niego łaskawy.

Mówię to w związku z tym nagrywaniem. Jak ktoś znajdzie, żeby wiedział, dlaczego byłem taki bezdennie głupi. Wiem, że może kręcąc powróż na siebie, że będę żył w stałym stresie, dopóki będę wiedział, że kasety istnieją. Przecież już i tak ryzykuję, od samego początku wiedziałem, że nic nie ma bez ryzyka i że się oszukiwałem w tym względzie. Ale mimo to muszę gadać, co gadam.

Drugie pół litra okazało się jak najbardziej na miejscu. W miarę, jak piliśmy, coś się w nas zaczęło zmieniać. Nabieraliśmy odwagi w rozmowie, nie bojąc się śmieszności czy ostrego osądu.

Grzegorz zarządził przerwę w dyskusji, by każdy z nas opowiadał o znanych mu przypadkach czyjegoś wzbogacenia się. Bez względu na to, czy się dla nas nadaje czy nie. Wszędzie może być jakiś pomysł.

Gdy zaczęliśmy mówić, okazało się, że żaden z tych przypadków nie może być uznany za krystalicznie czysty pod względem moralnym, a liczne są wręcz kryminalnej natury.

Opowiadali tylko Grzegorz i Rafał, ja gorączkowo szukałem w głowie, lecz jakoś niczego nie znajdowałem.

— No, a ty, Rysiu?

— Ja znam przypadek zupełnie do nas nie przystający.

— Mamy na to nie zwracać uwagi.

— A więc spotkałem niedawno moją dawną koleżankę, sympatię, właściwie to pierwszą miłość...

— Spaliście ze sobą?

— Spaliśmy, ale to nie ma znaczenia. Otóż spotkałem ją w luksusowym samochodzie, pięknie ubraną, zadbaną. Ma piękne, wygodne mieszkanie. Dużo wolnego czasu. Nie wiem, ile ma pieniędzy, lecz na tym poziomie, na jakim się znajduje, a jest on — jak na Polskę — bardzo wysoki, nie ma problemów materialnych. Czuję się też zabezpieczona na przyszłość.

— Adres?

— Dżentelmen nie podaje adresów.

— To niech powie, z czego ta pani żyje.

— Z siebie. W elegancki sposób przyjmuje eleganckich cudzoziemców. Dyskretnie, bez awantur, jednym słowem — pełna kultura.

— Boję się, że z tego nic dla siebie nie będziemy mieli — powiedział Rafał.

— Chyba że adres — zauważył Grzegorz.

— Rysiek go trzyma dla siebie.

— Wznawiam dyskusję — powiedział Grzegorz, bo skończyliśmy drugie pół litra — i pierwszy zabieram głos. W sprawie formalnej. Uważam, że osiągnęliśmy poziom nasycenia alkoholem właściwy dla

prowadzenia nieskrępowanych, a ciągle jeszcze rzeczowych obrad. Aby go zaś nie obniżyć w trakcie zebrania... — i tu postawił na stół napoczętą, lecz w miarę, butelkę *soviet brandy* „Ararat”. — Ryszard ma głos.

— W porządku — mówię. — Wrabiasz mnie, ale niech będzie. To zresztą ty powiedziałeś, Grzegorz, poprzednim razem...

— Co powiedziałem?

— Słowo „skok” wypowiedziałeś. Robiliśmy plany skoku, „napadu stulecia”. Taka sobie logiczna rozrywka...

— Tak dla zabawy? — zapytał Rafał.

— Dla zabawy czy dla higieny psychicznej... Ucieczka od rzeczywistości, gdzie nie dajemy sobie rady, w świat, w którym jesteśmy herosami. Ale nie tylko. Była to również próba psychicznego osvajania się z myślą o popełnieniu przestępstwa, a także macanie się nawzajem; na ile jesteśmy do tego gotowi. Wyrównywanie frontu. Czy dobrze mówię?

— Aż za — to Grzegorz. — Więc od razu wejdę ci w słowo. Ja się już oswoiłem psychicznie, a nie chciałbym tracić czasu na dalsze macanie się. Albo więc coś postanówmy, albo uzgodnijmy, że niczego nie podejmujemy.

Rafał:

— Bałem się, że do tego dojdzie. Nie oswoiłem się. Chyba będziecie się musieli bawić beze mnie.

Grzegorz:

— Na jaką więc *Wunderwaffe* liczyłeś? Że będzie to wysoce dochodowe, krystalicznie uczciwe i pozwoli ci nie przerywać kariery naukowej?

Rafał:

— Jak mnie przypierasz do muru, to powiem. Z punktu widzenia moich interesów życiowych przyjemnie traciłem czas. Szkoda, że to się kończy, ale i pora najwyższa. Mam nadzieję, że pozwolicie mi dziś dosiedzieć z wami do końca.

Ja:

— Twoje opory, Rafał, są cenne i powinny nas wpędzić w kompleksy. Ale wiesz, jak to jest z zasadami. Bierzesz od nas złeczone roboty w „SCENTII” i razem niemilosiernie zawyzamy stopień komplikacji, a potem dopisujemy niesamowitą

wprost liczbę godzin na wykonanie pracy. Czyż nie tak?

— Tak, tak! Bez retorycznych figur. Wnioski.

— Nie. Wpierw retoryczne pytanie: czy prawo moralne w tobie nie powstrzymuje cię od tego rodzaju praktyk?

— Od tego rodzaju — nie!

— W porządku. Zechciej to uzasadnić.

— Myślałem, że to oczywiste. Nie ja ustalałem reguły gry i nie zasiadłem do niej z wyboru. Ktoś zdecydował, ile i jakich ma być mieszkań, jakie mają być wszystkie ceny, jakie uposażenia wszystkich, w tym naukowców. Prawo moralne we mnie mówi mi, że nie wiążą mnie te normy — ustalone dla mnie beze mnie i przeciw mnie. Jeśli zaś jest jakiś margines dla wolnej woli, inicjatywy, to on wymaga łamania tych reguł.

Ja:

— Dziękuję. To właśnie chciałem usłyszeć.

Grzegorz:

— Po co? Co nam to daje?

— Świadomość, że wszyscy trzej zgadzamy się, że nie musimy pozostawać w zgodzie z wszelkimi możliwymi regułami, które nam przymusowo narzucono.

— Skończyłeś, Rysiek? — zapytał Grzegorz.

— Nie. Będę mówił dalej. Istnieje jakaś płaszczyzna moralnej akceptacji, lecz nie możemy jeszcze planować naszego skoku, dopóki nie ustalimy jej poziomu.

Rafał:

— Prawo moralne we mnie, jak ty to nazywasz...

Ja:

— To nie ja, tylko Kant.

Rafał:

— Nie ma znaczenia, bo dla mnie to i tak jest Dziesięć Przykazań, może z pewną tolerancją jeśli chodzi o szóste. Jeśli zawyżam rachunki w „SCENTII” czy gdziekolwiek indziej, to nie widzę przykazania, które bym łamał.

Ja:

— A „nie kradnij”?

— To się adresuje do tych, co wymyślają te stawki. Chyba nie o takim przestępstwie chcieliście mówić?

— Ponieważ zajmujesz stanowisko skrajne w dyskusji — powiedział Grzegorz — to zechciej je, proszę, skonkretyzować.

Rafał przez chwilę się zastanawiał, a ja myślałem o naszej rozmowie. Jeszcze nigdy tak nie mówiliśmy. Czułem podniecenie jak zawsze, gdy toczy się jakaś prawdziwa gra o coś, czy to będzie szkolny mecz koszykówki czy ważny egzamin na studiach. Wiedziałem, że Grzegorz to reżyseruje, że to nie żarty, że wcale się tu nie wypracowuje jakiejś decyzji, bo ona jest już gotowa. To Grzegorz doprowadza nas pod nią. Postanowiłem, że mu to powiem, lecz przedtem chciałem posłuchać Rafała. Ta zabawa w dyskusję, zamiast zwyczajnej chaotycznej gadaniny, też była atrakcyjna i już tego nie chciałem puścić.

Rafał:

— Proszę uprzejmie. Naruszę wiele przepisów i nawet paragrafów kodeksu pod warunkiem, że nie wyrządę krzywdy osobie ludzkiej. Przepraszam, że to brzmi jak homilia, lecz to jest dla mnie ważne.

Pokiwaliśmy obaj głowami.

— Mówię dalej. Może być nadużycie podatkowe, płacowe, rachunkowe na szkodę jakiejś instytucji i państwa, bo nie wierzę, iżbym w ten sposób okradał wszystkich. Raczej sędzę, że wszyscy jesteśmy okradani przez te instytucje. Lecz: nie zabiję, nie pobiję, nie zgwałcę, nie upokorzę, nie zagrabię, nie okradnę, nie wyłudzę.

— Co o tym myślisz, Rysiek? — zapytał Grzegorz, lecz Rafał pomachał ręką, że jeszcze chce mówić.

— I jeszcze jedno: nie mogę przy tym wpaść!

— To już kwestia techniczna, a my na razie jesteśmy przy moralnej stronie zagadnienia — zauważyłem.

— Nie, to się nie da rozdzielić. Nie mogę uczynić krzywdy również swojej rodzinie, której przecież chcę pomóc, jeślibym się decydował na taki krok. Nawet krzywdę swoją uważałbym za niemoralną, gdybym miał zaprzepaścić swe cele życiowe, dla których bym przecież to zrobił. To

wszystko. A teraz niech się Rysiek wypowie.

— Piękne to i słuszne — powiadam — ale myślę, że margines, który by nam pozostał, okaże się za wąski. Teoretycznie można tam nabudować wiele, ale praktycznie to będą nadal szachrajstwa na drobne sumy. To tak się nie da, Rafał — zjeść ciastko i mieć ciastko.

— Też tak myślę — powiedział Grzegorz.

— Rozumiem więc, że mój udział w przedsięwzięciu się kończy — stwierdził Rafał. — Miło, że chcieliście mnie wysłuchać.

Grzegorz milczał, jakby czekając na wyjście Rafała, ale ja się zdenerwowałem.

— Poczekaj, Rafał. Nie wychodź na etapie uogólnień, bo tu się konkret już czai. Grzegorz! Przecież ja wiem, że ty już TO wymyśliłeś. Nie baw się z nami w ciuciubabkę, lecz mów!

Grzegorz nie mówił, lecz patrzył z troską na zegarek.

— Przepraszam was, moja wina, że się zapomniałem. Musimy już przerwać. Szkoda. Boję się, czy nie za późno.

Jakoż było za późno, bo ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Grzesiek wskazał nam gestem, że mamy być cicho i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nic nie słyszeliśmy. Po chwili wszedł z poszarzałą twarzą.

— Przepraszam was jeszcze raz, ale musicie wyjść szybko i cicho. Bardzo mi przykro, że dopuściłem do tego, ale obawiam się, że tu już nie będziemy się mogli spotykać.

Członkowie-założyciele czy uroczystiej: ojcowie-założyciele „SCENTII”, do których miałem się szacząc zaliczać, nazywali siebie w początkach klubem nieudaczników albo też związkiem wypędzonych. W roku 1982, gdy zakładaliśmy firmę, prawie każdy z nas skądś był wyleciał. Z różnych, przeważnie mieszanych powodów, lecz wówczas było to odbierane dość jednoznacznie, zwłaszcza że dwóch z nas zaliczyło po parę miesięcy „interny”. Każdy wiedział, że wypada być dla „SCENTII” przychylnym.

Gdy mówię Grzegorzowi, że Jon to bardzo sprytnie wykorzystał, ten wrzusza ramionami jak na oczywisty banał.

— To cwana gapa, nasz Edzio — mówi. — Roztargniony jak dziesięciu Einsteinów, a dobrze wie, gdzie konfitury stoją!

Grzegorz, mój starszy kolega z wydziału, a wcześniej mój asystent, współpracował z Jonem od lat. O ile Edward zapowiadał się na wybitnego fizyka, o tyle Grzesiek był równie wybitnym konstruktorem. To mogę potwierdzić, bo choć eksperymenty Jona są dla mnie czarną magią, to na tym, co robił Grzegorz, trochę się znam.

Na wydziale Grzegorz był pracownikiem dydaktycznym i to go mocno nudziło. A dla instytutu, w którym pracował Edek, robił jakąś część potrzebnej tamtemu aparatury.

Potem poszedł do pracy w przemyśle, gdzie zarobił niewiele więcej, a konstruował tak samo nic, mimo że pracował w biurze głównego konstruktora. Instytut Edka tymczasem wyczerpał środki na nową aparaturę, Grzesiek zaś i tak nie miałby jej z czego i czym wykonać. Rzucił więc oddaloną od Warszawy fabrykę, gdzie w służbowym mieszkaniu zostawił rodzinę i został prawą ręką Jona przy montowaniu „SCENTII”. To, co tamten wymyślił, ten potrafił zorganizować. Obaj panowie w tym czasie zdążyli się śmiertelnie znienawidzić, ale firma zaczęła działać.

Grzegorz uważa, że trzeba było zakładać spółkę osób fizycznych albo spółdzielnię. Starczyłyby na początek nawet dwa miliony, które by się pożyczyciło po ludziach. Mielibyśmy wtedy nie premię, lecz udział w zyskach. Praktycznie także limitowany, bo nigdzie nie jest bezpiecznie zbyt dużo zarobić, ale byłoby więcej niż teraz. A co najważniejsze — wybierałoby się prezesa. Byłby Jon, ale by był zależny. A tak, jak został dyrektorem z łaski uspołecznionych udziałowców, to i radę nadzorczą, i walne zgromadzenie ma owinięte wokół palca.

Prawdę powiedziaławszy to rozmowy o „SCENTII”, w które Grzegorz wciąż wkła-

dał tyle pasji, już mnie zaczęły nudzić. Mogłem pozostać na uczelni bez większych obciążeń moralnych, gdybym wiedział, że bycie naukowcem naprawdę jest moim powołaniem. Tu przyszedłem dla pieniędzy, nie obiecując sobie ani ciekawej, ani też prestiżowej pracy. Jak zobaczyłem, jaki jest pułap, przestało mnie cokolwiek w firmie interesować. Poza tym, by ten pułap osiągnąć możliwie najmniejszym kosztem.

Niestety, Edward jest nerwicowiec z intuicją. Od razu wyczuł mój zwis i przyjął to za osobistą obrazę. Formalnie nie może się do mnie przycepić. Robię, co do mnie należy, ale on by lubił, żeby wykazywać inicjatywę, energię, pracować z błyskiem. Powiedział mi to otwarcie niejeden raz.

Śluchałem wruszając ramionami. Aż któregoś dnia podczas kolejnej reprimendy odpowiedziałem mu przy całym prawie personelu:

— Z błyskiem, to ja mogę pracować tam, gdzie mam na rękę, albo w bliskiej perspektywie, co najmniej minimum socjalne dla mojej czteroosobowej rodziny. Jak mi tego w swojej firmie nie potrafisz zapewnić, to mnie pocałuj w dupę! Albo weź na moje miejsce następnego idiotę, który ci przez jakiś czas będzie wierzył w te „najrozmaitsze możliwości”. Dla ciebie — może, ale nie dla nas!

Trzasnął jakimiś papierami o biurko i wybiegł w strasznym wzburzeniu, aby niczego nie musieć odpowiadać. Jeszcze rok wcześniej powiedziałby, że jest to wszak nasza firma.

Dzwonek okazuje się melodyjnym gongiem. Nie słyszę kroków, a już otwierają się okute drzwi, zaopatrzone w przyciski szyfrowego zamka.

Lena ma włosy spięte w koński ogon, jest nie umalowana i bosa. Przez otwarte drzwi pokoju widzę podłogę, wyścieloną od ściany do ściany puszystym białym futrzakiem.

Stając na palce Lena całuje mnie prosto i naturalnie w oba policzki. Schylam się, aby zdjąć zakurzone buty. W myślach upewniam się, czy mam całe i świeże skarpetki.

— Wejdz, Ryszard — mówi Lena — to miło, że jesteś punktualny.

— Jak w meczecie u ciebie z tymi butami — mówię, by coś powiedzieć, kiedy wkraczamy na futrzak. Jestem jakoś rozkojarzony tą wizytą po latach.

— To, poza wszystkim, znacznie przyspiesza sprawę. Panowie, zdjęwszy buty, zdejmują też od razu marynarki i krawaty, bo taka sztywność przy samych skarpetkach jest trochę śmieszna. No i z miejsca się robi intymnie. A do tego zgrabna bosa stopa przeważnie się mężczyznom podoba...

Mnie też się podoba. Podoba mi się zresztą cała Lena. Z czułością przypominam sobie, jak nieporadnie kochaliśmy się kilkanaście lat temu. Była chuderlawym podlotkiem, tyle że o ładnej, ciekawej twarzy. Teraz to piękna, dojrzała kobieta, właściwie dama, zważywszy tego golfa diesla, w którym ją cztery dni temu spotkałem, i to mieszkanie...

Wielki pokój z wielką przeszkloną ścianą. Za nią już nie balkon nawet, a taras, z ładnymi ogrodowymi meblami. W środku mebli niewiele, lecz chyba wszystkie zagraniczne. U nas takich nie robią. Ciemne drewno z miedzianymi okuciami. Niski duży stół, jakieś komody, wygodne fotele i pufy z prawdziwej skóry. Ogromne niskie legowisko, pokryte czarnym dla odmiany futrzakiem. I prawdziwy kominek z nie dopalonym drewnem.

— Zaraz widać, że przedwojenne budownictwo, ciągle najdroższy metr kwadratowy w Warszawie — na tym gruncie czuję się pewnie, więc staję się bardziej rozmowny. — Twoje własne, czy wynajmujesz?

— Wynajmuję. Tu metr jest po sto pięćdziesiąt tysięcy, a właściwie to już po dwieście dolarów, bo tylko tak się już liczy... Rozumiem, że się napijemy?

I otwiera barek, a w nim oczywiście cały „Pewex”.

Przedtem jednak zgodnie z powszechnym rytuałem oglądamy mieszkanie. Za drzwiami *living room*'u jest niewielka sypialnia Leny. Też elegancka, lecz jakby nieco surowa w stylu. Łóżko umiarkowanie szerokie. Cała ściana jest właściwie

szafą. Druga taka sama szafa ścienna jest w hallu, przestronnym i eleganckim. Obok równie duża kuchnia-jadalnia, też na najwyższym poziomie. No i łazienka jak z Hollywood. Czarne kafle, a na nich cieniutka zielona roślinność, właściwie mozaika z kafelków. Ogromne kryształowe lustro, wanna na całą rodzinę...

— Jak na kokotę przystało — komentuje z uśmiechem Lena. — A teraz chyba już możemy się napić.

— W koszmarnych czasach sanacji — opowiada — całe to piętro było jednym dziewięciopokojowym mieszkaniem. Z powojennego podziału to wyszło całkiem niezgorzej. Kupię je chyba, ale przedtem muszę nieco popłacić komorne.

Barek jest może trochę za niski i Lena klęka przed nim. Głowę ma prawie w środku, widzę jej spięte włosy na lekko opalonych plecach; ma krótką letnią sukienkę na cienkich ramiączkach. Opalone łydki na tle futrzaka i kontrastujące z nimi białe podeszwy stóp. Gdy spojrzenie na jej plecy upewnia mnie, że nie ma na pewno stanika — co to mnie właściwie teraz obchodzi? — uświadamiam sobie, że przecież ona, tutaj, pewnie i w takiej pozycji, tyle że bez tej szmaty na sobie... W gardle robi mi się sucho i mówię skwapliwie: „tak”, gdy pyta, czy napiję się whisky. *With soda and on the rocks* — naturalnie.

Facet, z którym tu żyła, dał nogę na Zachód przed paru laty. Została w jego mieszkaniu. Była po studium języków obcych i jakoś sobie radziła. Tłumaczenia kabinowe, obsługa turystów i poszczególnych osób. Jej specjalnością był angielski i niemiecki, lecz z czasem opanowała hiszpański, francuski i włoski.

— Myślałam, że warto się potem brać za języki rzadkie, lecz byłam w błędzie. Nikogo z moich ewentualnych pracodawców nie interesowało, że jestem taka uniwersalna. Chodziłam po handlu zagranicznym...

— I nie chcieli ciebie?

— Chcieli, ale nie mogli zapłacić tyle, co dwóm osobom tam, gdzie miałam zastąpić cztery. Tym czterem zaś mogli płacić, mogli także kierownikowi, bo jak cze-

ry osoby to już ekipa i musi mieć kierownika, który praktycznie nie zna żadnego języka!...

Od cudzoziemców dostawała prezenty, czasem pieniądze za to, że była sprawna i miła. Początkowo wzdragała się, jeśli upominek nie był jedynie symbolicznym drobiazgiem. Było tak zwłaszcza przy pieniądzach, co ofiarodawców wprawiało w niekłamanie zdumienie. „Przecież ty zasługujesz na to” — mówili. Szybko zrozumiała, że nikt jej nie zamierza poniżać dając pieniądze, raczej przeciwnie. Z czasem zaczęła bazować na tych obrywach, chociaż nigdy, nawet aluzją, nie domagała się ich.

Czasami przyjmowała zaproszenie na obiad czy kolację, niektórych zapraszała do siebie. W końcu dorosła kobieta musi się z kimś od czasu do czasu przespać. Wolalała ich niż rodaków, nie ze snobizmu ani wyrachowania, czy może nie w pierwszym rzędzie z tych powodów. Byli, przynajmniej tutaj i dla niej, dżentelmenami, luźnymi w wydawaniu pieniędzy, zwłaszcza przy uwzględnieniu kursów czarnorynkowych. Byli też traktowani wszędzie jak paniska i nie narażali jej na upokorzenia i stresy w knajpie, taksówce, sklepie czy na ulicy. I — co najważniejsze — mimo że przeważnie byli bardzo zajęci, nie byli zabiegani, przestraszeni, spięci lub oklapnięci, ani też nie ukrywali niedolnie tych stanów.

— To przykre: patrzeć, jak Polak jest traktowany i jak czuje się w swoim kraju — powiedziała. — Ja tego miałam dosyć.

W początkach stanu wojennego przyjazdy do Polski prawie ustały i jej zarobki również. Zaczęła natomiast dostawać paczki z zagranicy i to się wówczas liczyło. Wtedy to zaprzyjaźniony Amerykanin, który się odważył przyjechać, a z którym jak najbardziej przyjaźniście sypiała już dawniej, zostawił jej na odjezdne trzysta dolarów.

— Kochanie — powiedział, gdy zaczerwieniona i ze łzami w oczach wzbraniała się je przyjąć — przecież to jest pomoc od przyjaciela. prostytutce nie płaci się tyle!

Paru innych cudzoziemców też jej wówczas dało; kto dolary, a kto marki i franki. Z innymi zaś stosunki nabrały, nie wiedzieć czemu, rzeczowego charakteru.

— I tak się skurwiłam, Rysiu, jeśli cię to interesuje. Mogę się pocieszać, że w tym czasie inni to robili inaczej i chyba gorzej. Ale nie chcę dorabiać ideologii tam, gdzie chodzi o szmal.

W tym czasie do tego odezwał się z Kopenhagi jej były partner życiowy, właściciel mieszkania. Bardzo mu przykro, lecz mieszkanie musi wynająć. Życie bywa brutalne.

Jej były przyjaciel również. Gdy już była w stanie kupić ten lokal — nie zgodził się. Wolał nadal brać pieniądze co miesiąc, by potem i tak sprzedać, gdy stanie dłoń ostatecznie kwestia paszportu konsularnego.

Teraz mogłaby kupić lub wynająć inne mieszkanie. Wtedy jednak nie wchodziło to w grę. Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy i zdecydować się na profesjonalne traktowanie procedury, który ciągle traktowała dotąd jako ciąg przypadków.

Postawiła sobie same ostre rygory. Choć już tego nie potrzebuje, będzie nadal pracowała jako tłumaczka i przewodniczka — tyle że w mniejszym wymiarze — aby zachować swój status, no i możliwość nawiązywania nowych kontaktów. Będzie wyłącznie *call-girl*, nie pojawiając się w żadnych hotelach, restauracjach czy innych miejscach publicznych. Klientem nie będzie nigdy żaden krajowiec dewizowy, choćby płacił w zielonych i to z góry. Nikt, kto by ją mógł potem sobie przypomnieć w tym charakterze. Nie będzie dużego obrotu, klientów będzie sobie selekcjonować. Żadne przypadkowe kontakty bez wstępnego poznania lub solidnej rekomendacji, żadne afery, zbiorówki, sztafety i takie różne. *Safety first!*

Okazało się, że dezynwoltura, jaką popisała się podczas naszej pierwszej rozmowy w jej samochodzie, była na pokaz. Tak naprawdę to przyznała się ponoć tylko mnie i zupełnie nie wie, dlaczego.

Tego dnia Rafał zaprosił Grzegorza i mnie na obiad do „Retmana”.

— Czyżby już bez nas zrobił ten skok? — spytał Grzegorz.

— Nie. To końcówka jakiejś niewielkiej wypłaty. Zakończę przyjemnym akordem nasze robocze spotkania.

Zeszliśmy ze skarpy do wielkiej, pustawej teraz sali, bo pora obiadowa już się skończyła, a działalność rozrywkowa zaczęła się dopiero za jakiś czas.

Obiad upływał w miłej, koleżeńskiej atmosferze. Jedliśmy elegancko podane dania z ohydnych, nie rozmrożonych do środka mrozonek, wypijając do tego litra na trzech. Przy jedzeniu aniśmy to poczuli.

Kelner przyniósł rachunek, Rafał zapłacił, coś w granicach trzech tysięcy, a ja poprosiłem, aby nam podano jeszcze butelkę „Araratu”, zauważonego przeze mnie w barze.

— Sami milionerzy dzisiaj — zauważył Grzegorz. — Też końcówka?

— Pan się będzie śmiał, to jest już wszystko.

— „Ararat” po czystej oznacza u nas poważną rozmowę na poważne tematy — powiedział Rafał, gdy kelner rozlał do kieliszków i poszedł sobie.

— Zmienilesz zdanie, Rafał? — spytał Grzegorz.

— Bynajmniej. Powiedziałem przecież, że to pożegnanie.

Przypomniałem mu więc, że poprzednim razem u Grzegorza nie skończyliśmy naszej rozmowy.

— Jeśli Rafał poważnie traktuje swoją deklarację z tamtego wieczoru, to nie akceptuje tego, co powiem — powiedział Grzegorz. — Ale mogę przy nim powiedzieć. Cokolwiek się stanie, nie musimy się siebie obawiać.

— Wolałbym jednak, abyś już tego przy mnie nie mówił. Zaraz pójdę, a wy już resztę omówicie we własnym zakresie.

— Nie — stwierdził zdecydowanie Grzegorz. — Nigdzie nie pójdziesz. W każdym razie nie przed końcem tej butelki, a może następnej. Bo jak poszukam, to i u siebie też znajdę jakąś końcówkę. Będziemy dziś pili i milczeli albo też, jak za dawnych lat, mówili o dupach.

Merytoryczne, a nie formalne podejście do obowiązków w „SCENTII” miało między innymi polegać na nieistnieniu dupogodzin. Robota ma być zrobiona, a gdzie i kiedy, to każdy rozstrzyga sam. Każdy dostaje klucze do firmy i może w niej pracować, kiedy chce, nawet nad ranem, byle nie zrobił pożaru i nie zapomniał zamknąć drzwi, gdy wychodzi. A potem może w domu spać do południa. W praktyce oznaczało to, że trzeba tak czy owak przyjść na dziewiątą rano, a nie wymawiać się, kiedy każą robić coś późnym wieczorem.

Jona prawie cały dzień w biurze nie ma. Wpada i wypada — nigdy o zapowiedzianych godzinach — ale z reguły jest rano i wścieka się, jak chce coś komuś powiedzieć, a tego nie ma. Musi wówczas albo zanotować, co ma do powiedzenia, na kartce, którą natychmiast zgubi, albo przekazać sprawę Milenie, co jest dlań dodatkową czynnością.

Milena, sekretarka, ma tylko imię nieco ekstrawaganckie, a poza tym jest wesołą, bezpośrednią dziewczyną o dość typowej jak na te okolice urodzie — pulchnawa, apetyczna blondynka z kręconymi włosami i lekko zadartym nosem, nieduża — i z niewymuszonym zachowaniem. Gębę ma niewyparzoną, nawet jak na Sp. z o. o. „SCENTIA”, gdzie w słownictwie — jeśli nie ma klientów — przewijają się stale określenia „powszechnie uważane za obelżywe”.

Dlatego też kiedy Edek wydaje jej jakieś polecenie, ta potrafi powiedzieć:

— Nie możesz z tym poczekać?! Przecież widzisz, do jasnej cholery, że jestem zajęta!

Jakoż zajęta jest bardzo. Oprócz zajęć sekretarskich, które są marnie płatne, ma też na głowie wypełnianie dokumentów handlowych. Właściwie to każdy ma je wypełniać sam, lecz chodzi o to, by Milenie dać dorobić parę groszy do pensji. Mieszka ze starymi rodzicami, których łączne emerytury z bardzo starego portfela wynoszą tyle, ile jej marna pensja.

A jeśli Jon zleci jej czynność, którą jej zdaniem sam powinien wykonać, wówczas mu odpowiada:

— Nie wygłupiaj się, Edek. Może mam ci jeszcze tylek podetrzeć!?

— To są skutki spoufalania się z personelem — skomentował kiedyś taką odzywkę Grzegorz i wszyscy się roześmieli, łącznie z Mileną i Edkiem, bo wszyscy wiedzą, że oni ze sobą sypiają.

Sypiają, to może zresztą w tym przypadku wyłącznie przenośnia, jako że romans rozgrywa się tylko w scenerii biurowej. Z możliwości pracy wieczornej w firmie korzysta prawie wyłącznie jej dyrektor. W dzień zabiegany, wtedy dopiero ma czas na spokojną pracę. Poza tym jest oczywiście śmiertelnie i trwale skłócony również ze swoją żoną oraz podrastającą córką i woli być w domu jak najmniej.

Wiedząc, że Milena jest dziewczyną bezpośrednią, spytałem ją kiedyś, gdy byliśmy tylko we dwoje, czy nie boi się, że ją tu kiedyś nakryją w trakcie amorów.

— Mam to rozpracowane. Okna są zasłonięte, a drzwi zamyka się na zasuwę. Póki Edek otworzy, ja przez to okno na półpiętrze wychodzę na daszek przybudówki w podwórku. Tam jest ciemno i nigdy nikogo nie ma. Latem — dodaje — pół biedy. Wskakuję w sukienkę; majtki i sandały do ręki. Zimą, sam rozumiesz, jest to daleko mniej komfortowe.

Entrée Leny zrobiło w „SCENTII” dość duże wrażenie, mimo że była ubrana skromnie.

Pomysł był mój. W firmie wszyscy mniej więcej znali angielski, niektórzy nawet dość dobrze, lecz nie na tyle, by pisać pisma w tym języku. Z innymi językami było o wiele gorzej. W związku z tym mieliśmy masę kłopotu, biegając po mieście i szukając tłumaczy, którym by się chciało napisać dla nas parę zdań. Ktoś, kto od razu pisze we wszystkich podstawowych językach, byłby więc jako współpracownik cennym dla nas nabytkiem. Powiedziałem więc Jonowi, że mam takiego człowieka, a ten mi powiedział — przyprowadź.

Był akurat w biurze, gdy przyszła i spytała o mnie. Spojrzał na nią z pięterka i natychmiast zbiegł na dół.

— Pozwól, Leno, że ci przedstawię docenta Jona, naszego dyrektora...

Ale docent już sam się przedstawił, potem pokazał nasze biuro, wyróżniając w nim tylko Milenę, z którą Lena miała mieć kontakt. Oczywiście o ile jego nie będzie, bo nie chciałby odstępować komukolwiek tej przyjemności.

Patrzyłem z pewnym zdumieniem, jak tokował, bo nigdy go takiego nie znałem.

— A teraz zabieram panią na kawę — oświadczył i wyprowadził Lenę, patrząc na niego z życzliwym zainteresowaniem.

— Przecież masz stos listów do podpisania! Kiedy ja to wyślę, do jasnej cholery?! — wrzasnęła za nim Milena, lecz Jon nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

— Zdaje się, że masz ją już z głowy — Grzegorz uśmiechnął się złośliwie. — Jonowi się żadna nie oprze.

— Jemu?

— A żebyś wiedział.

Edward Waldemar był bardzo wysoki i bardzo chudy, zgarbiony. Miał zapadniętą klatkę piersiową i policzki, na które spadały mu długie czarne włosy. Spod nich wyglądały wielkie czarne oczy, osadzone nad dużym, wąskim, lekko garbatym nosem. Nosił zawsze — lato, zima — jakiś wyciągnięty stary sweter na ciemnej, kraciastej, nie przesadnie świeżej koszuli, bezkształtne, wytarte portki ze sztruksu i nigdy nie czyszczone buty ze zdartymi flekami. Jeździł zaś starym, poobtłukiwanym garbusem, który miał chyba dwadzieścia lat, jeśli się orientować po modelu.

Ten styl przywiózł sobie z Yale czy Princeton, jakieś dziesięć lat temu. Tam zobaczył, że wczesnym rankiem zjeżdża do pracy personel administracyjny nauki: dobrze ostrzyżeni i ogoleni panowie w krawatach i garniturach, wysiadający z przyzwoitych limuzyn. A potem takimi właśnie volkwagenami przyjeżdżają tak właśnie wyglądający przyszli nobliści. To było coś dla niego — połowa jego fascynującej osobowości.

Zdałem sobie sprawę, że ta druga połowa — też nie w kij dmuchał. Facet na pewno nieprzeciętnie inteligentny, z pozycją, ciekawie mówiący i to na wszystkie

możliwe tematy, a do tego przebojowy, pomysłowy i energiczny, kiedy mu na czymś zależy. Jeśli takiemu zależy na kobiecie, ta kobieta faktycznie mu się nie oprze.

— On zawsze w ten sposób podrywa i zawsze skutecznie — mówi Grzegorz. — Aha. Czy to nie była przypadkiem ta znajoma, co daje cudzoziemcom? Ile by nie dawali — nie przepłacają. A Jon i tak dostanie to lepiej, no i za friko.

Odpowiedziałem, że nie, ale nie jestem pewien, czy mi uwierzył.

Romans z Mileną wynikł nagle i niespodziewanie.

— Mam do wystawienia i wystania ze dwieście faktur do końca tygodnia. Bądź człowiek i posiedź jutro ze mną po pracy parę godzin. Odpracuję ci, jak będziesz w potrzebie.

Stopień naszej zażyłości biurowej jakby nie upoważniał jej do takiej prośby, lecz nie odmawia się atrakcyjnej dziewczynie.

— Zostanę w robocie dłużej — powiedziałem wychodząc z domu — jakbyś coś do mnie miała, zadzwoń.

— A co ja mogę do ciebie mieć, żeby jeszcze pod automatami wystawać?!

Wypełnianie faktur, zamówień, monitów, wuzetek, umów i zleceń było najkoszmarniejszą stroną roboty w „SCEN-TII”. Chyba że trzy godziny pracowaliśmy bez wytchnienia, aż Milena zarządziła fajrant, oświadczając, że z resztą da sobie jutro radę w godzinach.

Przez cały czas kombinowałem, czy by jej po robocie nie zaprosić na kawę, ale miałem przy sobie nie więcej niż cztery stówki. Na kawę w dosłownym znaczeniu by starczyło, ale gdyby tak co do czego, to klops. Jednakże Milena oświadczyła, że będzie parzyć herbatę, dobrą „Earl Grey”, z zapasów szefa, i że ma świetny domowy pasztet. Zauważyłem, że pasztet lepiej idzie z jakąś wódeczką.

— Jak się upierasz z całych sił, to nie położę się w progę, by cię powstrzymać.

Wyszedłem, zły na siebie, że się dałem podpuścić i jeszcze bardziej za to, że jestem szmondakiem, który nie ma przy

sobie nawet na flaszkę. Miałem faktycznie niewiele ponad cztery stowy i świadomość debetu na koncie w PKO, wysokości circa tysiąca złotych. Pomyślałem, że jak jest jeden, mogą być i dwa, chociaż nie lubię zawiadomień z komputera, na których ujemne saldo jest podkreślone długopisem i tych liścików, w których zapowiadają mi zamknięcie konta, jeśli się to powtórzy.

Znalezienie czynnej poczty, odstanie kolejki, a następnie kolejki w monopolowym zajęło sporo czasu. Doprawdy, życie nie pięści kochanków.

— Myślałam, że wzięłaś się za pędzenie — powiedziała z przekąsem Milena.

Bar urządzony był na piętunku, gdzie stały zsunięte ze sobą cztery ogromne biurka, warsztat pracy co najmniej dziesięciu pracowników. Na tej powierzchni znajdowały się serwetki, stały talerze, szklaneczki do wódki, szklanki z herbatą, cukier, pieczywo, masło, pasztet i pomidory. I Milena, która zdjawszy sandały i podwinąwszy kieckę siadła po turecku na zdjętym z krzesła siedzeniu z gąbki.

— Możesz zostać na dole, możesz tu wleźć, a jak nie potrafisz siedzieć po turecku, to rozłóż te poduszki i się kładź jak Rzymianin. Tu jest miejsce na wszystko.

Faktycznie było miejsce na wszystko. Po dwóch kolejkach i chwili pustej paplaniny wstałem i pocałowałem ją w usta. Przyłgnęła natychmiast, twierdząc, że za dużo jest tych wszystkich szmat między nami. Jakoż szmaty co do jednej zostały błyskawicznie zrzucone, a gdy zastanawiałem się, jakby tu dalej, Milena przebiegła na golasa po pokoju, pozbierała gąbkowe poduszki i narzuciła je na stosowną część powierzchni biurka. Nie zapomniała też o położeniu na właściwym miejscu ręcznika. Było dość miejsca dla nas i nic z zastawy nie zostało nawet ruszone.

Bardzo było miło, a potem wypróbowałem jeszcze inne meble, a także schody.

— Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „SCENTIA” — rzekła Milena — stwarza najrozmaitsze możliwości.

W gruncie rzeczy najważniejsze są w

tej całej sprawie kobiety. Obiektywnie, to po trzydziestce szanse mężczyzny rosną. Dwudziestoletni pętał z zachciewajkami, któremu się ręce do tego trzęsą, może przeważnie z trudem ugadywać swoje ci-powate koleżanki. Te lepsze sztuki wyją mu spokojnie faceci po trzydziestce, a nawet starsi, prawdziwi, pewni siebie mężczyźni. Tacy jak ja teraz jestem? Powiedzmy. Muszą przy tym być pewni siebie i na luzie. Luz ma być ogólny i wyczuwalny. Trzeba mieć do tych rzeczy wolny czas, wolną głowę i parę drobiazgów, które dają pieniądze. Taki fuks, jak z Mileną, zdarza się raczej rzadko.

Dwudziestolatek może być złotym młodzieńcem. Może wtedy wzruszyć jakąś dojrzałą kobietę. Zaś gość po trzydziestce może mieć dwadzieścia damskich roczników, od dwudziesto- do czterdziestolatek, pod warunkiem, że jest mężczyzną, który się jakoś zagospodarował w życiu.

Sprawdziłem to już parę razy na sobie. Na przykład z Jolką, urzędniczką z kwestury, gdy jeszcze byłem na uczelni. Taki okazjonalny romans. Jolka jakby chciała, lecz bała się. Chyba bardziej się bała niż chciała. Że dowie się mąż, że dowiedzą się na uczelni. Denerwowała się w kawiarni, bo ktoś nas zobaczy, denerwowała się w chatkach kolegów, bo a nuż ktoś niespodziewanie wejdzie. I nasze seanse były nerwowe, odbywane byle jak, to znaczy byle szybciej, byle się tylko przedzej ubrać, a jeszcze lepiej wcale się nie rozbierać.

I oto pewnego dnia Jolka wypisuje mi zlecenie do kasy na całe szesnaście tysięcy, minus podatek. Wreszcie rozliczyli jakiś temat, który nasza katedra robiła przez całe dwa lata w ramach „zleconych”. Wiadomo już było, że psu na budę, że go nikt nigdy nie zrealizuje, lecz „godzien jest pracownik zapłaty swojej”. To były wtedy jeszcze spore pieniądze. Nie jestem ekonomistą, lecz myślę, że równało się dzisiejszym pięćdziesięciu tysiącom.

— Jolu — rzekłem — mam chyba niezgorszy pomysł: przepijemy tę forszę. W każdym razie zobaczymy, ile nam się uda przepić.

Wzruszyła ramionami i nadęła się. Ty-

powa przedstawicielka lepszej połowy ludu polskiego; albo bez sensu chichocze, albo się nadyma, bo wtedy — uważa — nie jest łatwa, natomiast jest elegancka. Lecz zaproszenie na kolację do „Forum” przyjęła.

Nie wiem, co powiedziała w domu, skąd wyszła wystrojona, może nieco przesadnie. Ja powiedziałem, że mam pilny wyjazd związany z tym właśnie projektem. Zresztą Zochy to nie obchodziło. Przy paru innych wadach nie jest dociekliwa ni podejrzliwa.

To, że po Jolkę przyjechałem taksówką na jej Jelonki, już zrobiło na niej wrażenie, a kolacja jeszcze je pogłębiła. Po kolacji unosząc — bez ukrywania — napoczętą buteleczkę koniaku udaliśmy się do recepcji, gdzie — bez ukrywania — położyłem tysiąc na kontuarze, a potem poprowadziłem Jolkę ku windzie, bawiąc się kluczem. Ciekawe, tu się nie bała, iż ją ktoś zauważy.

A w numerze? Gdzie się podziała ta wiecznie przestraszona, zła i śpiesząca się Jolka? Co za wspaniała kochanica! Wszystko odbyło się *kak w kinó*, łącznie z igraszkami w pienistej wannie. Później bez słowa zrozumieliśmy, że randki w zadymionych kawiarniach i pożyczonych na godziny mieszkaniach są niemożliwe, a standardu „Forum” nie dało się niestety utrzymać.

Zresztą, policzmy. Fakt, że w spółce z ograniczoną odpowiedzialnością „SCENTIA” zarabiam dwa razy więcej niż dostawałbym na uczelni. Ale to jest, średnio, wszystkiego trzydzieści z ogonem miesięcznie. Przy czym gdy ogon jest dłuższy, to się tego nie zauważa, a gdy krótszy, to robimy długi i na nie idzie premia kwartalna. „Trzynastka” idzie już na większe długi i coś się czasem kupi do domu.

To ja. Zocha w klubie sportowym, gdzie jest sekretarką, ze wszystkimi obrywami nie przekroczy nigdy dwudziestu. Niby nie mało razem, ale co ja poradzę, kiedy na byle jakie żarcie, proszki, mydła, gazety i sznurowadła wychodzi tysiąc dziennie na czteroosobową rodzinę. A mieszkanie? A samochód, który ciągle się repe-

ruje? A dwójka dzieci w szkole? Imienniny, które trzeba wyprawić i na które wypada pójść i tak dalej? Skąd więc wezmę tę piątkę, żeby wyjść z dziewczyną w miasto na wieczór i kawał nocy i nie pluć sobie potem w brodę przez miesiąc? A bez piątki nie wyjdę, by nie przeżywać stresów, rachując szybko w myśli przy oglądaniu karty i nie wpadać w panikę, gdy kelner przychodzi z rachunkiem.

Rafał, który jest i biedny, i skąpy, twierdzi, że kurewski charakter kobiet czyni z nich naciągaczki. Ale Rafał jest niemiarodajny, bo choć go kobiety pociągają, to nie chciałby na nie wydawać, nawet gdyby miał. Uważa, że powinny mu się oddawać dla jego walorów, a nie robią tego właśnie przez wyrachowanie.

Bóg z nim. Ja wiem, że to nieprawda. Życie nie pieści teraz nikogo, ale babom dokłada szczególnie. I jeśli trafi się czasem mężczyzna *large*, pewien siebie i opiekuńczy, choćby na ówierć doby, to baba mięknie. Nie musi myśleć, że tego, co pójdzie na konsumpcję w knajpie, zabraknie na żarcie w domu. I choć wie, że to na ogół sztuczne, że na chwilę, to chce się poczuć damą z prawdziwego zdarzenia, wspaniałą kochanką — i bywa nią od czasu do czasu. Więc może to nawet dobry uczynek — puścić z jakąś piątka czy dychę przez jeden wieczór i kawał nocy?

Tylko że ja, cholera, choćbym się zebrał, nie jestem w stanie zapewnić takich warunków mojej własnej babie na co dzień, ani innym choćby na parę wieczorów w roku!

To jakoś tak dojrzewało między nami. Czuliśmy, a nie mówiliśmy ni słowa, choć w ogóle to nasze rozmowy były nawet brutalnie szczere.

Aż pewnego dnia powiedziała:

— Wiem, że mnie chcesz. Jeśli nie brzydzisz się z powodu moich klientów, to zrób tak, żebyś mógł u mnie być przez parę najbliższych nocy.

Sypialiśmy z Leną w jej sypialni, na trochę przywaskim łóżku. Nie używaliśmy w tym celu jej salonu z jego różnymi

możliwościami: futrzaki, sofy, kominek, którego płomień powinien odbijać się w nagich ciałach. We wspomnianej łazience także bywaliśmy oddzielnie.

— Parafiański trochę ten seks z mną? — spytała którejś nocy Lena.

— Dobrze mi — powiedziałem, co było prawdą. Bliższe to było naszym doświadczeniem sprzed lat niż szałom zmysłów i wyuzdaniu, które można by sobie wyobrazić. Lecz tamtą Lenę wspominałem z czułością i znów odnalazłem w sobie to uczucie. A do tego teraz nie była ona napięta i przestraszona. Było cieplej, intymniej.

— Możliwe są dwie interpretacje — mówiła. — Jedna, że z tobą, tutaj, dokąd nigdy nie wprowadziłam moich facetów, jestem jaka naprawdę jestem. A tam, z nimi, to bezosobowe chwytły profesjonalne.

— A druga interpretacja?

— Że pełna skala usług jest tylko za zielone.

Oboje roześmieliśmy się. Ale ja jestem mendowaty facet. Coś mi zapadło. Od tego dnia zacząłem sobie wyobrażać te sceny, które dzieją się w jej mieszkaniu, kiedy ja tam nie mogę przyjść. Zaczęli mi przeskadzać psychicznie klienci. Co jej jednak miałem powiedzieć: rzuć to natychmiast, kochanie, zapewnię ci ten sam poziom lub jeszcze wyższy? Albo: znajdziemy szczęście w małym pokoiku wynajmowanym za jedną naszą pensję i będziemy oboje pracowali na nas i dwójkę mych dzieci z poprzedniego małżeństwa?

Punktem wyjściowym, kiedy dla zgrywy projektowaliśmy zbrodnie doskonałe, było to, że nie jesteśmy zawodowcami. Możemy popełnić błąd, którego by profesjonalista nie zrobił, ale stać nas na pomysł, którego śledztwo nie rozszyfruje od razu. A co najważniejsze, nie jesteśmy notowani. Nikomu nie pokazuje się naszych zdjęć, śladów palców, opisów poprzednich zbrodni, charakterystyk, wykazu kumpi, kochanek i tak dalej. Nic nie da wypytywanie o nas i szantażowanie różnych przestępców, by nas wydali,

a także kontrola melin i inne podobne zabiegi. Jeśli nie zrobimy jakiegoś błędu — a to chyba można wyeliminować przez staranne przemyślenie i przygotowanie wszystkiego — jeśli nie zajdzie niezależny od nas przypadek, wówczas powinno się udać. Jeden duży, naprawdę inteligentnie zaplanowany i precyzyjnie wykonany skok powinien nas ustawić na resztę życia i to poza wszelkim podejrzeniem.

— Jaki znasz tego rodzaju przypadek? — zapytał Grzegorz.

— Bank na Jasnej — odpowiedziałem bez wahania.

— A jeszcze?

— Wystarczy.

— Mnie nie. Znam lepsze sposoby. Co tydzień wygrywa ktoś w takiego czy innego totka sumę, która by nas urządziła. I to całkiem bezpiecznie.

— Sądziś, że sukces tych z Jasnej był tak samo prawdopodobny?

— Nie. Jeśli natomiast porównuje się stawkę w totku i przy takim napadzie... Ja pamiętam tę historię. Śledziłem opisy w gazetach. Tamci wprawdzie jednym napadem zdobyli broń. Potem strzelając z tej broni zrabowali znaczną sumę z poczty na Marszałkowskiej, tam gdzie jest teraz skrzyżowanie z Trasą Łazienkowską. Napad na Jasnej był więc już trzecim ich skokiem.

— Ale ostatnim.

— Pomyśl jednak o ryzyku, które za każdym kolejnym razem zwiększało się chyba do kwadratu. Napad na ruchliwej ulicy w środku miasta. Masa ludzi, wśród których może być pewna liczba mających broń i gotowych z niej zrobić użytek. Dużo pojazdów; jakiś może zajechać drogę, czy nawet niechcący zastawić ich wóz. To było piekielne ryzyko i nieprawdopodobne szczęście, że im się udało. Wolałbym tego nie próbować.

— Oni zabili tam ludzi.

— Gdyby uzbrojonym konwojentom kazali podnieść ręce do góry, rzucić broń, lub sami ją zaczęli odbierać, nie wiadomo, jaka by była reakcja. Zaś reakcja zastrzelonego jest jednoznaczna. Poza tym biegiły sekundy, mogłaby wyniknąć szamotanina. Może musieliby strzelać, ale póź-

niej. Poza tym na widok zastrzelonych zmniejsza się grono potencjalnych bohaterów.

— Rozumiem więc, że dla nas taki skok nie wchodzi w rachubę. Co proponujesz?

— Jeszcze nie wiem — zastanawia się Grzesiek. — Sądzę jednak, że zbrodnia powinna się odbyć w możliwie największej izolacji. Tak, aby zmniejszyć do minimum nieprzewidziane elementy, których całkowicie nigdy się nie da wykluczyć. W ogóle wszelkich elementów, tych przewidzianych też, ma być jak najmniej, by nie powiększać stopnia komplikacji, a więc i zawodności układu. Najprostsze sposoby są najlepsze, wiem to z projektowania.

— Czyli kłonicą w łeb, łosem ukręcić kłódkę i w nogi?

— Żebyś wiedział. Trzeba w skomplikowany sposób doprowadzić do sytuacji, w której można użyć środków prostych — rzekł Grzegorz. — Tu obowiązuje napoleońska zasada o przewadze, którą trzeba mieć nie w ogóle, lecz w decydującym czasie i miejscu.

— Jasne, Grzegorz. Przeciw sobie mamy cały potężny aparat ścigania z jego sprzętem, doświadczeniem, samochodami, psami, śmigłowcami i panami, którzy badają linie papilarne. Całe oburzone społeczeństwo i postępują ludzkość. Ale w tej opuszczonej cegielni, o trzeciej nad ranem, przy wyciu burzy, jest nas trzech na jednego!

— Widzę, że rozumiemy się, Rysiu.

— To może wreszcie powiesz, jaki jest ten twój plan, skoro już się wycofał Rafał, ja się zgadzam na twoją metodę.

— Cierpliwości. Jeszcze się nie zgodziłeś. Nie ustaliliśmy, jak będziemy postępowali z ludźmi.

— Z ludźmi? Z jakimi ludźmi?

— Dobrze wiesz, z jakimi.

— Ustaliliśmy, że nie będziemy zabijać. Tak zrozumiałem twoją opowieść o Jasnej.

— Nie będziemy planowali zabójstwa. Czyli odpada *dolus malus*, zły zamiar. A *dolus eventualis*? Śmierć, na której nam nie zależy, lecz z którą się godzimy w rezultacie naszych działań? Traktowane to jest cokolwiek lżej, ale powiesz i za to można. Tę sprawę trzeba mieć

rozstrzygniętą z góry. Czy godzisz się zabić, jeśli jest to konieczne z punktu widzenia celowości całego przedsięwzięcia, czy też zdecydowanie odstępujemy od zamiaru?

— Zdecydowanie odstępujemy.

— Nawet jeśli grozi to naszym ujęciem, a zabójstwo daje nam szansę ujęcia z łupem?

— Czy nie za dużo wymagasz od razu, Grzesiek? Tyle jest rodzajów przestępstwa. Czy to, które planujesz, musi być związane z taką decyzją?

— Boję się, Rysiu, że tak.

— Można minimalizować koszty — mówiła Lena — ale nie daje się rubla zrobić i cnotę zachować. Co ja ci mogę poradzić, Rysiek? Jakbyś miał głowę do interesów, to już byś je pewno robił. To nie jest sprawa kapitału. Jeśli mi powiesz, że widzisz dla siebie dobry biznes i jesteś pewien, że szansa wynosi więcej niż pięćdziesiąt procent, to ci pożyczę pieniądze. Tylko nie oszukuj sam siebie.

Jest spokojna, zrelaksowana, lecz bez przerwy pracują jej dłonie na szklance whisky, którą już chyba tradycyjnie u niej pijemy. Dłonie ma piękne. Nie smukłe, bynajmniej, lecz właśnie silne i kształtne, a co najważniejsze, nie zniszczone przez pracę. Matowy lakier na paznokciach, taki sam, jak na stopach, również kształtnych i nie zniszczonych. Fetyszysta jestem z tymi dłońmi i stopami kobiet, u wszystkich na to zwracam uwagę. Ale i na inne rzeczy również. Figurę ma ta Lena wspaniałą i skórę, wszędzie gdzie widać, również wspaniałą. A widać przeważnie dużo; dziś na przykład jest w szortach i obcisłej koszulce gimnastycznej na ramiączkach. Oczywiście bez stanika. Odkąd ją znowu mam, podnieca mnie to jeszcze bardziej.

„Ciekawe — myślę — czy gdybym jej wtedy nie rzucił, to teraz też miałbym ją taką, wspaniałą i elegancką kobietę, czy też byłaby tak zniszczona i poszarzała jak moja Zocha?”

Mówię jej to.

— Kto wie, co by było, gdyby było — odpowiada — lecz ta druga wersja jest

raczej bardziej prawdopodobna. W moim pierwszym związku, w małżeństwie, szło już ku temu. Ale mówmy, Rysiek, o interesach, jak już zaczęliśmy. Jest taki, który ja odrzuciłam. Proponował mi jeden z moich klientów i stale to jest aktualne.

— Co za interes?

— Niebezpieczny. „Nie bardzo” — zapewniał mnie, lecz nie chciałam ryzykować za pieniądze mniejsze niż już zarabiam. Nie wiem nawet, czy powinnam ci o tym mówić...

— Jestem chyba dorosły?

— Jesteś i pamiętaj, że ja ci nie proponuję, raczej nawet odradzam.

— Może jednak powiesz mi w końcu, co to za biznes?

— Przyjął, przechować, przekazać jakąś przesyłkę. Raz na parę tygodni.

— Co to za przesyłka?

— Jakiś stary aparat fotograficzny, niewielki magnetofon, radio tranzystorowe albo i ciuch. Zawsze rzecz bez większej wartości.

— A co jest w środku?

— Tego to nie wiesz. Dostajesz swoje sto dolców i nic cię nie musi obchodzić.

— A co jest w środku?

— Opium czy heroina... Nie znam się na tym.

Był to faktycznie stary japoński magnetofon marki „Crownorder”. Sfatygowany, ale na chodzie. Taki sprzęt nie budzi niczyjej uwagi ani pożądlivosti i — co najważniejsze — podejrzeń, gdyż ma normalny użytkowy charakter...

— Umawiamy się — powiedział dzień wcześniej swoją twardą, ale poprawną polszczyzną Herr „Weinman” — że pan nie zagłada do środka, nie próbuje niczego rozkręcać. I tak trudno będzie cokolwiek znaleźć, natomiast łatwo ustalimy, że ktoś majstrował. To jest bardzo bezpieczny biznes, pod warunkiem, że się przestrzega paru reguł.

W tym kontekście brzmiało to jak pogroźka.

— Oglądał pan chyba *French connection* i myśli pan, że wchodzi pan w taką

groźną aferę. Nic podobnego! Panu naprawdę nie grozi nic poza panem samym.

— Mógłby pan jaśniej?

— *Natürlich*. My nie będziemy mieli ze sobą kontaktu. Ci, którzy panu towar dostarczają, to przypadkowi ludzie, cudzoziemcy, nie znający języka, ludzi, zyczących. Żaden z nich nie zapamięta pana wyglądu ani nie zwróci uwagi na numer pańskiego samochodu. Wreszcie ten, kto będzie od pana odbierał... Panowie się zapoznacie, żeby kontakty były naturalne, choć niezbyt ożywione.

— To w sumie dużo ludzi. Każdy z nich może wpaść.

— Prawdopodobieństwo jest bardzo niskie, ale zawsze istnieje. W końcu za coś się bierze pieniądze. Istnieje jednak pewność, że nikt pana nie wyda. Nie będzie miał żadnego interesu, niczego mu to nie załatwi, natomiast wiele by ryzykował. Kara za sypnięcie jest straszniejsza niż to, co im tu grozi przed sądem.

— Parę lat odsiadki też mnie nie bardzo urządza.

— Może się pan jeszcze wycofać. Niech pan to zrobi, jeśli ma pan obawy. Proszę zrozumieć. Nie jest pan żadnym kluczowym ogniwem, lecz jednym z wielu drobnych, przypadkowych kontaktów.

— Płotka.

— Co to jest płotka?

— Taka mała rybka. Nieważna. Nie warto jej łowić.

— *Sol!* Nie znałem tego idiomu. Płotka. Dziękuję panu. Jak pan jest taka płotka... źle powiedziałem? Płotka. Mój ojciec był z Bielska i on mówił po polsku tak, że Polacy nie poznawali, że Niemiec. Ja już tak chyba nie będę.

— Co więc wynika z tego, że jestem małą płotką?

— Że żadna policja takich nie łowi. Nie kalkuluje się. To jest duża praca, żeby złapać kogoś z dowodem. Jak gdzieś jest większa wpadka — ten idiom znam, niech pan zauważy — to małe rybki same się rozbiegają i wypadają z gry. Nie ma po co ich szukać, a i tak nie można ukarać.

— Jak to nie można?

— Nikt przecież nie wyda, że pan stale

to robi. To już mówiłem. Powiedzmy, że przypadkiem znajdują przy panu ten aparat, magnetofon, radio wraz zawartością. To przecież pan nic nie wie, co tam jest w środku. Zapomniał to u pana w samochodzie jakiś cudzoziemiec, którego pan podwiózł przez grzeczność.

— A jeśli wyśledzą, że to ja przekazałem dalej temu, z kim mam się zapoznać?

— Nikt pana nie będzie śledził. Lecz niechby nawet. Potrzebował on pilnie na wyjazd jakiegos aparatu czy magnetofonu, a pan miał pod ręką. Niepotrzebny panu, bo i tak znalazł go pan u siebie w samochodzie. Już pan jest spokojny?

— Przecież w to nie uwierzą!

— A co to pana obchodzi? Sąd musi mieć jakiś dowód. Dopóki pan sam się nie przyzna, nic panu nie mogą zrobić. Zresztą na panu nie będzie im zależało, bo pan jest płotka, przepraszam, płotką. Trochę pana postraszą, bo pomyślą, że może pan coś powie o swoich kontaktach. Ale nic złego panu nie zrobią. Pan jest człowiek z towarzystwa, na stanowisku, niekarany, podejrzenia są niepewne, poszlaki słabe. Żadnych przestępców, alkoholików, narkomanów, chorych nerwowo, takich, których łatwo załamać, nie bierzemy do tej roboty.

Pomyślałem, że trochę on jednak nawinny ten Weinman.

Przeprowadził wywiad środowiskowy? Wystarczy mu to, co o mnie wie? A jeśli go oszukuję? Czy gdyby wiedział, że ja może dziś jeszcze nagram wszystko na magnetofon, to kazałby mnie zabić? Aha, przecież mówił coś i o groźbach.

— No, w zasadzie mnie pan uspokoił...

— To dobrze, ale jest jedno niebezpieczeństwo.

— Ja sam. Tak pan zdaje się mówić?

— Tak. Powiem panu, jak to najczęściej wygląda. Człowiek taki jak pan wprawie jest napięty, boi się. To przechodzi, gdy widzi, że wszystko idzie dobrze. Wtedy docenia, że za znikomy wysiłek i bardzo problematyczne ryzyko dostaje dobre pieniądze. Teraz stawka za jedną przesyłkę jest sto dwadzieścia dolarów, bo dolar na świecie spadł. A tu podróż. Nie rzadziej niż raz na miesiąc ma pan więc sto tysię-

cy, pewno dwa razy więcej niż pan zarabia.

— Trzy.

— Co, trzy?

— Trzy razy!

— Tym lepiej. Trochę pan musi uważać z wydawaniem, ale nie bardzo. Ludzie poplotkują, ale policji nie obchodzi, że ktoś ma na tyle tylko lepiej.

— Więc gdzie jest to niebezpieczeństwo?

— W panu. Żyje już pan całkiem nieźle, a pomyśli pan, że można by lepiej. Że przez pana idą wielkie pieniądze, a pan ma grosze. A przecież mógłby pan coś wymyślić, dowiedzieć się, jak to rozegrać inaczej. Każdy tak kiedyś pomyśli i nic. Ale niejeden spróbuje. Wtedy jest źle. Aparat jest na to przygotowany. Likwiduje się takie rzeczy w zarodku, przy pierwszej nawalance — to słowo też znam.

— Likwiduje się razem ze sprawcą zamieszania?

— Nie chcę pana straszyć, lecz niech pan wie, że to nie jest przyjemne.

— Nikomu nie udało się jeszcze przechytrzyć tego aparatu?

— Nie słyszałem o takim przypadku. Teoretycznie można sobie i to wyobrazić, lecz wówczas musiałoby być zamieszanie. A jak jest zamieszanie, to wtedy i policja coś złapie.

— Pan nie jest płotką, lecz grubą rybą. Pan wie więcej, pan by mógł zagrać o większą stawkę.

— Dlatego, że wiem więcej, to nie próbuję. Jeśli nawet jestem szczupakiem, to mnie pilnują rekiny.

Chwilą milczenia zamknęliśmy tę część rozmowy.

— Rozumiem — powiedział po chwili — że uzgodniliśmy wszystko? Jutro o 15.20 — wiem, że pan może wychodzić z pracy — przy Dworcu Centralnym, na zewnątrz, na rogu, który jest najbliższy Pałacu Kultury, zobaczy pan Japończyka obwieszzonego aparatami i magnetofonami, który z planem miasta rozgląda się po okolicy. Spyta go pan po angielsku, czy mu nie wskazać drogi. Gdy spyta o hotel „Victoria”, podwiezie go pan. Zapomni coś u pana w samochodzie, przechowa pan to, aż

przyjdzie ktoś i się na mnie powoła. Z nim właśnie pan się zapozna na dłużej. On panu da pieniądze za przesyłkę i wyznaczy następny termin odbioru.

— Czy spotkanie może nie dojść do skutku?

— Nie powinno. Lecz jeśli się tak zdarzy, drugi termin jest w tym samym miejscu o dobę i dwie godziny później. Albo ktoś pana znajdzie i wyznaczy inny termin i miejsce. Podobnie będzie, jeśli pan się nie stawi. Ale po trzech nawalankach z pana strony zrywamy współpracę, nie pytając o powody...

No i w ten sposób mam ten Crownorder. Gdyby ten Weinman wiedział, że ja to wszystko nagrywam...

— Wiesz, Grzesiek. Chyba ci to muszę powiedzieć teraz. Boję się, że nie będę w stanie wziąć udziału w czymś takim, co może się skończyć czyjąś śmiercią.

— Też się boję, że nie będziesz w stanie. Zresztą nie boję się, bo nie weźmiesz w czymś takim udziału.

— Eliminujesz mnie?

— Sam się eliminujesz. Lecz mam inną rolę dla ciebie. Niżej płatną, bo to jest zapłata za strach.

— Domyślam się, że teraz powiesz mi wszystko dokładnie.

— Jeśli sobie tego będziesz życzył.

— Życzę sobie.

— Wpierw powiem, czego chcemy od ciebie.

— Chcemy? Jacy wy? Miało nie być wspólników!

— Ryszard! Pozwól mi wpierw powiedzieć, czego ja chcę od ciebie. A jeśli będziesz żądał dalszych wyjaśnień, powiem ci wszystko. Może od razu odmówisz i nie będzie potrzeby rozmowy, a może się zgodzisz, ale będziesz wolał nie znać szczegółów.

— Mów, czego chcesz.

— Wśród prywaciarzy, z którymi masz kontakt w „SCENTII”, wytypuj trzech, czterech takich, których warto oskubać. I dostarcz jak najwięcej danych, jakie uda ci się zebrać, nie zwracając na siebie

uwagi. Masz ich adresy, oświadczenia podatkowe...

— W których kłamią.

— Twoja głowa, by to sprostować. Wiadomo zresztą, w którą stronę oszukują. Poza tym nie chodzi nam o prawdę, lecz o zbliżenie się do niej. Możesz wiedzieć, jak długo i jakim biznesem się taki człowiek zajmował, jaka jest skala jego obrotów, czy operuje gotówką, w co lokuje: bank, pończocha, konto za granicą.

— Tylko tyle ode mnie chcecie?

— Jak widzisz, niewiele.

— Nie bardzo rozumiem. Przecież ty też pracujesz w „SCENTII”...

— Ja mam inne zadania. Poza tym ty z tymi ludźmi rozmawiasz, znasz ich. Kartoteki są u Mileny. Byłoby podejrzenie, gdybym ja do nich sięgał — Edek zaraz by wiedział. Ty masz do nich dostęp służbowy.

— Milena też.

— Jednak układ mam z tobą, a nie z nią.

— No tak. A w tej głównej sprawie, to chyba najbardziej pasuje Kulesza.

— Może. Ale dostarcz nam więcej danych i o tych innych też. Rozumiem, że się zgadzasz na udział w tej formie? Czy teraz chcesz znać dalsze szczegóły?

— Nie! Ani teraz, ani kiedykolwiek indziej!

— Czesiek jestem, pływam na promach.

— Ryszard Ludwiczak, bardzo mi miło.

— Kochany. Pewnie pójdziemy na wódkę i będziemy ze sobą na „ty”. To może bądźmy od razu, a wypijemy za chwilę. Nie będziemy tracili czasu, no nie?

— Jak pan sobie życzy. To znaczy, jak chcesz. Lecz nie wiem co pana... ciebie sprowadza.

— Wiesz, wiesz! „Najlepsze kasztany są na placu Pigalle”. Tak było w tym serialu? Bawi mnie ta konspiracja. Jestem od Weinmana i będę od ciebie odbierał towar. Oraz wypłacał ci działkę. To, że pływam, jest ważne, bo mogę wpadać do Warszawy na dzień, góra — dwa. A jeszcze do tego mam tu cipę, u której mu-

szę trochę zabawić. Jasia się nazywa. Jak człowiek wpada na chwilę, to nie ma czasu na ceregiele. Dlatego ma być dupa umyta i w łóżku, towar przygotowany i przejście na „ty” bez czekania, aż się zje beczkę soli. No, a teraz zapraszam na te pół litra, żeby wszystko było jak trzeba.

Za którymś razem stwierdziłem, że miłość w „SCENTII” dobrze się robi w każdym dowolnym miejscu, ale żeby sobie potem przytulnie poleżeć we dwójkę, to nie bardzo jest na czym.

— Czekaj, jest sposób i na to.

Zeskoczyła z połączonych biurków, określanych przez nią jako seksodrom i jak zawsze miotała się na golasa, znosząc siedzenia i oparcia z foteli.

— Chodź. Mamy wygodne legowisko. Można się tu kochać całkiem jak w łóżku małżeńskim. Nie chcesz spróbować?

Zechciałem, a potem leżeliśmy, nawet wygodnie, nieco nad poziomem podłogi, między biurkami i nogami krzeseł biurowych.

— Trzeba się przystosować do warunków — zauważyła Milena — kiedy nie idzie na odwrót. Ja jestem taki wycieruch, którego wszyscy posuwają na meblach biurowych. Jakoś nikt się nie fatyguje zaprosić mnie do jakiejś chaty, że już nie powiem — do motelu.

— Co za wszyscy, Milena. Wiem o Edku.

— O Edku wszyscy wiedzą, bo jestem pogotowie seksualne pana dyrektora. Zasiada się w biurze, stanie mu i dzwoni po mnie do domu.

— I musisz tak zaraz przybiegać?

— A może mi się kalkuluje? A może lubię? Zresztą u Edka byłem ze dwa razy w domu, jak mu rodzina wyjechała. Ale tam on zaprasza niechętnie. Tu, jak skończy, to zapina rozporek i wraca do swego ciała stałego. A w domu nie może mnie tak od razu wyrzucić.

— A jaki ma dom?

— Mózg staje, jakie bogactwo. Dlatego was nie zaprasza, bo ten dom nie pasuje do jego dziury na dupie. Słowo daję, że jak zdejmuję te sztruksy, to widać, że ma

je na wylot przetarte w kroku. A sweter to ma już całkiem jak Einstein.

— No i skąd to bogactwo?

— Z różnych miejsc. Trochę ze „SCENTII...”

— Nie widziałem, żeby był pazerny na forszę.

— I słusznie, bo nie masz widzieć. Ale wypełniam zlecenia na osoby podstawione przez EWJ. Głównie po to mnie zerznął, żebym była lojalna.

— No i naciął się na tobie.

— Dlaczego? Przecież ty z tego nie zrobisz użytku, a komuś czasem muszę powiedzieć, co mam na wątrobie. Że ci daję, to inna sprawa. Monopolu na moją dupę dyrektor sobie nawet nie zastrzegł.

I wtedy zacząłem ją znowu molestować w sprawie tych „wszystkich”, lecz usłyszałem, że mam jej dać spokój.

— Rysiu, jak tobie powiem o nich, to im opowiem o tobie.

Była to zupełnie prosta zagrywka. Za którymś razem poprosiłem Czeška, by dokładnie powiedział, od kiedy do kiedy będzie po odbiór towaru. „Będę bardzo zajęty — powiedziałem — i już z góry chciałbym się precyzyjnie umówić”. Powiedział mi bez żadnych podejrzeń, kiedy przylatuje do Warszawy i wybrałem sobie najwcześniejszy możliwy termin. Liczyłem, że będę pierwszym, od kogo odbierze towar. Tak chyba było.

Potem jeździłem za nim przez cały dzień i spisywałem wszystkie adresy miejsc, gdzie się zatrzymywał. Całą noc przesiedziałem w wystygniętym maluchu pod domem pani Jasi, u której jak zawsze nocował. Następnego dnia znów go śledziłem. Nie pilnował się zupełnie. Nikt inny go też nie pilnował, bo chyba byłaby jakaś reakcja. Jak nie tym, to następnym razem. Przez cztery następne pobyty śledziłem go w ten sam sposób. Większość spotkań powtarzała się. To znaczy, że albo odwiedzał te same miejsca, albo spotykał się w różnych miejscach z tymi samymi ludźmi, których rozpoznawałem. Byłem pewien, że znam większość takich płotek jak ja, które pracują na Czeška.

Zastanawiałem się, czy i jak mógłbym przejąć cały ten towar. Znałem tylko numery domów, do których wchodził, bądź twarze ludzi, z którymi rozmawiał. Z odległości, z jakiej go śledziłem, nie mogłem nawet zobaczyć, czy coś mu przekazywali.

— A ten twój były facet, właściciel tego mieszkania, nie mógłby wysłać swojej rodzinie paru dolarów, nie obdzierając ciebie ze skóry?

— Mógłby, ale nie musi. Zresztą na biedną nie trafiło — odpowiedziała Lena. — Ale co on tak ciebie ciekawi?

— Zdaje mi się, że był kimś ważnym w twym życiu.

— Był. Nawet bardzo. Ale już nie jest. Byłam trochę u niego w Kopenhadze ponad rok temu. Pożyliśmy znowu ze sobą przez dwa miesiące.

— No i?

— Bardzo było przyjemnie, nie powiem, lecz zrozumiałam, że dają sobie radę bez niego.

— Dobrze mu się powodzi?

— Wygląda, że bardzo.

— Z czego żyje?

— Jest współnikiem w jakimś sklepiku. Nasi turyści i marynarze dają dolary i podają adresy w Polsce, a oni wysyłają paczki na handel i przeważnie lepiej wiedzą, co mają wysłać niż sami zamawiający.

— Znam taki biznes. Kwitnie w Kopenhadze, Hamburgu, Wiedniu, wszędzie, gdzie duży ruch z Polski.

— Sądzę, że to tylko przykrywka dla prawdziwego biznesu. Rysiek, on ma pieniądze, które się zupełnie nie mają do tego handlu. Mieszkałam tam i widziałam tych ludzi.

— Polacy?

— I wszyscy inni. Niektórzy Polacy mówią do niego „Miętus”. Nawet niektórzy obcy pytają, czy to „pan Miętus”. To nie był człowiek, który by tutaj miał ksywę.

Gdy przekazałem mu informacje, Grzegorz stwierdził, że robię na nim wrażenie, jakbym się bał i uznał, że będę spokoj-

niejszy, jeśli jednak dowiem się czegoś więcej. Otóż rozmowy — takie jak prowadzone przez nas z Rafałem — są dość powszechne wśród sfrustrowanych inteligentów. Większość kończy na rozmowach, niektórzy jednak są znacznie bardziej zaawansowani niż my. Wszyscy wychodzą z mniej więcej podobnych przesłanek — byt określa świadomość — i dochodzą do zbliżonych wniosków. Wśród tych, którzy już coś robią, jest znane Grzegorzowi „komando” — tak siebie bowiem nazywają.

Ilu ich, kim są, tego dokładnie on nie wie. Ludzie ci wchodzi do upatrzonego domu, gdy ustalą, że w nim nikogo nie ma i zabierają pieniądze i kosztowności. Żadnych gratów. Jak Lisowczycy. Jacy Lisowczycy? No, była taka polska formacja ochotnicza w czasie Wojny Trzydziestoletniej. Nieważne. Chodzi o to, że oni się między sobą nazywają „Komando im. Lisowskiego”.

Jak wchodzi? Bez najmniejszego problemu. Mają w swym składzie zdolnych mechaników, elektryków i elektroników. Otworzą wszystko, zwłaszcza że 99 procent zabezpieczeń wszelkiego rodzaju to urządzenia typowe. Co najwyższej typy mogą być rzadkie. Jeśli daje sobie z tym radę pijany ćwierćanalfabeta, to co dopiero wysokiej klasy specjalista? On sam interesował się pokonywaniem urządzeń alarmowych. Tu, okazuje się, istota polega na sprawnym wyłączeniu alarmu, to zaś wymaga ustalenia, czy alarm włącza się, gdy obwód zostaje przerwany, czy kiedy jest pod prądem. I czy widoczne urządzenie jest jedyne, bo bywają atrapy i duplikaty. Jeśli wyłącznik jest na zewnątrz, wówczas nie ma problemu. Jeśli go nie ma, to znaczy, że powinien być w środku i wtedy trzeba forsować jedynie drzwi. Ich otwarcie pozostawia zawsze właścicielowi parę sekund na wyłączenie alarmu. Tego czasu jest aż za dużo, aby fachowiec dowiedział się tego, co jest mu potrzebne. Poza tym nawet włączenie alarmu mało kogo podrywa na nogi. Komando zawsze zdążyłoby się ewakuować, zawsze jest przebrane, ma nierozpoznawalny samochód itp.

Ludzie? Ludzi ma nie być. Jeśli się zda-

rzą, terroryzuje się. Bardzo dobry jest... pistolet gazowy...

Bo ja wiem, czy z całą tą wiedzą stałem się spokojniejszy?

Filozofuję sobie teraz. Wpierw się psuje elektronika, najbardziej skomplikowana na jachcie. Potem wysiada elektryka. Później dopiero części i połączenia mechaniczne — relacjonował ze swego rejsu dookoła świata Baranowski. — Człowiek zaś wytrzymuje najdłużej. Czyli że człowiek to brzmi dumnie, na człowieku można polegać.

Cały swój aparat Weinman, czy raczej te rekiny, co go pilnują, oparły więc nie na elektronice, lecz na człowieku, na zaufaniu do jego rozsądku, instynktu zachowawczego, wreszcie — swoistej lojalności. I tak mają te swoje 99 procent pewności! Czy jednak naprawdę tak trudno było sobie wyobrazić, że ten normalny człowiek z rozsądkiem i instynktem, nie bez pewnej lojalności, schla się pewnego dnia i sypnie całą tę misternie zbudowaną konstrukcję?

— No, to teraz się pan Czesio napije wódeczki. Jasiu, dostaw trzeci kieliszek i daj coś do żarcia. Nie przeżyjemy samą miłością. W końcu wytrzęśliśmy z siebie teraz trochę kalorii, no nie?

Pan Czesio nie był zbyt delikatnym mężczyzną. Otworzył mi drzwi owinięty jedynie ręcznikiem na biodrach, przy czym biodra były zbyt okazałe, aby ręcznik mógł należycie schować chlubę dzielnego marynarza. Następnie wciągnął mnie do pokoju, gdzie na łóżku znajdowała się rozebrana pani Jasia i uczynił to nie bacząc na jej wstydlive popiskiwanie przy rozplątywaniu i naciąganiu na siebie kołdry. Wyraźnie chciał się popisać sytuacją. Tym bardziej że przyszedłem w dokładnie wyznaczonym terminie. Choćby dlatego, by się pozbyć swego towaru i zainkasować pieniądze.

— Dobry wieczór pani. Przepraszam, że tak wtargnąłem — mówię. — Ludwiczak jestem. Pan Czesio, to znaczy Czesiek,

upoważnił mnie do przybycia do pani. Niech pani sobie nie robi kłopotu i nie wstaje, jakoś sobie poradzę — i wyjmuję z torby „Balantines” (black label), całe dwanaście docłów, trudno, idę na całość — pani pozwoli. — I stawiam butelkę na stół.

— Ale Wersal, niech skonam! Jaśka, to jest mój kumpel, Rysio, razem konie kradniemy, a to, Rysiek, jest moja kobieta, Jaśka. I nie żadne: „pani pozwoli”. Macie tu po kielichu, wypijcie brudzia i pocałujcie się. Jest co pocałować, Rysiu, no nie? Całuj, całuj, nie krepuj się. Jakbym był zazdrosny, tobym nie pływał, tylko na łańcuchu przy dupie warował!

Sytuacja jest jakaś mocno dwuznaczna. Całuję się z gołą kobietą w łóżku, w którym ona przed chwilą robiła miłość z tu obecnym mężczyzną. Zamierzam ją delikatnie musnąć ustami, żeby nie stwarzać niewłaściwego wrażenia, a ta wysuwa się z betów, obejmuje mnie mocno, przyciska i całuje, że daj Boże zdrowie. Sytuacja robi się nie tylko dwuznaczna, ale jakoś niezdrowo rajcowna. Pani Jasia sięga po kusy szlafroczek i wkłada go, wyłączając jednocześnie z łóżka. A robi to tak, aby niczego nie ukryć, bez cienia wstydlowości, ale też i prowokacji: prosto i naturalnie.

— Jest na co popatrzeć, no nie? — stwierdza Czesiek. I rzeczywiście — jest na co. Jasia jest apetyczna i postanawiam sobie, że wpadnę tu, kiedy on będzie w morzu.

Czesiek zostaje w ręczniku na biodrach, ale wkłada koszulę, którą dość trudno mu zapiąć na brzuchu.

— Cholera, jeszcze całkiem niedawno byłem chłopak jak świeca, a tu ten bandzioch. Tobie dobre, Rysiek, że nie masz skłonności do tycia. Choć na takim żarcie, jak w morzu, też byś przytył.

Wreszcie siedzimy z Cześkiem przy niedużym stole koło ich legowiska z ciągle nie schowaną pościelą. Rozpoznają taką samą wersalkę jak ta, na której sypiam z Zochą. Mieszkanie jest kawalerką z ciemną kuchnią i Jasia nie nachodzi się, podając nam na stół potrawy, przeważnie przywiezione przez Cześka z Balty.

— Możesz wszystko mówić przy Jaśce. Nie mamy przed sobą tajemnic.

— Ale ja nie chcę mówić, dopóki sobie nie popijemy. Czesiek ma głowę jak bania, ale już sporo wlane. Ja zaczynam od zera, a więc mam fory. Wiem też, że jak mam ważną sprawę, to piję i zachowuję przytomność, a alkohol tylko dodaje mi raju i łatwiej mówi mi się z ludźmi.

— No, jak ci idzie w naszym biznesie? — zaczyna w końcu Czesiek.

— Idzie wytrzymać.

— Robisz dopiero parę miesięcy, Rysiek, i wszystkiego nie kapujesz jak ja. To jest w gruncie rzeczy kurewski interes. Za takie pieniądze, jakie w nim mam, to ja robię uczciwie i nie skrucam niczego na lewo, chociaż może bym mógł. Mnie nikt naprawdę nie skontroluje. A wiem, że łączę za mną. Ciebie także przecież pytali, no nie?

— Tak jakby — odpowiadam, aby zyskać na czasie. Czy Czesiek mnie prowokuje? Sam mówi to, pod co chciałem go doprowadzić.

— Co „tak jakby”? Pytali czy nie? Oczywiście ten glistowaty Weinman?

— Skoro wiesz, to czemu się pytasz? — Weinmana faktycznie nie widziałem od pierwszej rozmowy ani razu. Zakładam, że Czesiek nie prowokuje i mówię:

— Czesiu, ja nie wiem, co ten glistowaty robi. Przypuszczam, że robi pieniądze, i to większe niż my, a robi naszymi rękami. Przy nim nikt nigdy niczego nie znajdzie.

— No, no.

— No właśnie. Ale ja nie mówię o sobie. Ja mam swoją maleńką działkę i dużo nie ryzykuję...

— A pan Czesio musi dupy nadstawiać, no nie?

— Więc myślałem, że jak już robisz taką poważną robotę, to mają do ciebie zaufanie.

— A on dopytuje o mnie?

— Nie, on mi każe sprawdzać, w ilu miejscach byłeś w Warszawie. Pewno chce wiedzieć, czy wszystko potem oddajesz.

— Jak, kurwa, możesz to sprawdzić?

— Nie wiem, czy to wszystkie punkty, może inne sprawdza ktoś inny, ale mnie

wskazał następujące... — i tu wyliczam to, co zdołałem zaobserwować.

Czesio milknie na chwilę, a mnie ogarnia strach.

— O, w mordę i nożem! I po co to robi, głupi patafian?!

— Jak to po co? Kontroluje.

— Gównu kontroluje! Po co mi w Polsce ten głupi proszek? A na Zachodzie mogą go oddać tylko na mecie.

— Nie ma zbytu?

— Jest, ale nikt nie weźmie od obcego faceta. W najlepszym przypadku pomyślą, że głupi gliniarz robi podpuchę i wezwą policję, żeby mieć trochę uciechy. A mnie już policja wystarczy i jestem ugotowany. W gorszym pomyślą, że ich konkurencja usiłuje wymacać i wylądować w jakimś kanale portowym.

— To przecież tam, gdzie zdajesz, bardziej się narażasz niż na cle.

— Ee tam! Jak idę na metę, gdzie mnie znają, to jest wszystko w porządku.

— Nie jest pewno dobrze, jak się tam często pojawiaasz.

— Tam wszyscy Polacy biegają, bo to miejsce, gdzie się wysyła paczki do Polski i gdzie kupują, jak coś przywieziesz na handel. Ja zresztą nie za każdym razem tam chodzę. Przychodzą ludzie z promu, znają ksywę jego i moją — zostawiają walizkę, a on każe przyjść po godzinie i wręcza forszę. Człowiek daje ją mnie albo ja sam tam biorę i wtedy się idę rozliczać...

Rozmowa trwała długo, przerywana była kolejkami i obłapianiem się jego z Jaśką, lecz prowadził mnie w dobrym kierunku. Co Czesiek robi z pieniędzmi, które bierze, prawdopodobnie od Miętusa — ale to jeszcze się sprawdzi — obchodziło mnie mniej. Miałem na tę okoliczność inne zamiary. Lecz Czesiek, raz nakręcony, mówił dalej:

— Za każdym razem wiadomo, jaka jest cena. Na mecie wazą, sprawdzają i płacą. Wiadomo więc, ile musiałem dostarczyć. Ten, co forszę odbiera, wie, ile powinno być. Jakbym przyskrzytnił trochę proszku, to przyniósłbym mniej docłów, bo tam ten biznes tylko w dolarach. Znaczą się manko, no nie? A jakbym przytrzymał zielo-

ne, wyszłoby na to samo, choć dla mnie z nich pożytku już więcej ani ciut ciut. Oni przecież wiedzą, ile tu jest na wejściu!

— No to na cholerę kazali mi ciebie kapować?

— Teraz trochę kapuję. Ja tu mam takich jak ty trochę więcej niż potrzebuje. Więcej niż jest przyjeżdżających. A przyjeżdżają oni w różnych terminach.

— I Weinman ci je podaje?

— Ja go nie widzę na oczy. Daje mi ten w Kopenhadze, który odbiera forsz. Zostawia mi moją dolę, co trzeba na opłacenie was, na dodatkowe rozchody. A moja głowa, na kiedy kogo z was tu napuścić. Muszę tak kombinować, żeby każdy się za dużo nie kręcił, patrzę, jak sobie kto daje radę. Tobie na przykład daję często zarobić, bo cię lubię i widzę, że jesteś obrotny. Jakaś piczuła czeka u mnie dość długo. Nie u wszystkich też odbieram towar za każdym razem. Nie daję.

— Nie tracisz na tym?

— Nie. Mnie nie przepadnie, ale tam, w Kopenhadze, tego nie lubią. Tam *time is money*, oni żyją z obrotu. Szybciej obróć, więcej zarobią. A ja mam od ilości, która mi nie przepadnie.

— Lena, kochanie. Czy twój Miętus nie robi przypadkiem w narkotykach?

— Robi przypadkiem. Dlaczego mnie męczysz ciągle w sprawie tego człowieka i jak na to wpadłeś?

— Intuicja. Poza tym wiem, że ten towar idzie do Kopenhagi.

— Do Miętusa?

— Tego nie wiem. Ale chyba nie ma w Kopenhadze tłumy Polaków, którzy by odbierali ten towar z Polski.

— Skąd wiesz? Jesteśmy zdolnym narodem.

— A ty skąd wiesz? Też intuicja?

— Potwierdzona. On do mnie przysłał gościa, z którym ciebie skontaktowałam. Tego, który kazał się nazywać Weinman.

— Myślałam, że to był twój klient.

— Kiedyś był.

Po tej rozmowie została mi do zrobienia jedna niesympatyczna czynność. Nazwisko Miętusa wciąż znajdowało się na

liście lokatorów. W końcu to było jego mieszkanie. W domu Leny mogłem przebywać również, gdy jej nie było. Nie nadużywałem tej możliwości, lecz teraz zostałem specjalnie.

Wiedziałem, gdzie trzyma listy. Miętus miał adres zwrotny: Vesterbrogade 65, a ostatnie listy były całkiem niedawne. Śmieszne, ale znałem ten dom, mieszkałem w nim nawet krótko przed laty, wynajmując obscurną norę, lecz za jedne 250 koron.

To nie był najlepszy adres. Główna, duża ulica ruchliwej dzielnicy handlowej, pełna kin, knajp, jakichś firm, lecz nie największych i nie najelegantszych. Równoległe do niej ciągnie się ulica Istegade, centrum sex-shopów i prostytucji — jedno i drugie prawdziwe w przeciwieństwie do pokazowego Nyhavn, między Teatrem Wielkim a królewskim pałacem Amliemborg. Sieć uliczek między Istegade a Vesterbrogade nie robiła dobrego wrażenia. Jedna z nich, łącząca obie te ulice, łączyła się z Vesterbro przez wielką bramę, właśnie w domu pod numerem 65. Mieszkają tam już — jeśli nie liczyć zapyziałych staruszek — sami obcokrajowcy. Polacy i cudzoziemcy z krajów Orientu. Przy czym Grek z Turkiem i Arab z Żydem z Izraela kłócą się co najwyżej o interesy w Kopenhadze. Na ogół jednak całe to zbiorowisko chroni się solidarnie przed policją, która zresztą jest w tym kraju ospała i tolerancyjna.

Gdy wychodziłem z pijaństwa u pani Jasi, zostawiłem ją siedzącą w rozchylnym szlafrocisku na kolanach pana Czesia, który jej ten szlafroczek rozchyłał coraz bardziej. Ona tuliła się do niego, wręcz się wciskała, jednocześnie patrząc mi wyraziście w oczy z zachęcającym uśmiechem. Oboje byli dla mnie w dalszym ciągu niezwykle mili, lecz rozumiałem, że pora już wyjść. Tym bardziej że załatwiłem nawet więcej niż zamierzałem, aczkolwiek jeszcze nie wszystko. Wiedziałem, że tu wróć, kiedy Czesio będzie się kołysał na wodach Sundu.

Nie zatrzymywano mnie zbyt natęrczywie. Wychodząc — mocno już pijany —

zauważyłem, że w kawalerce jest telefon i udało mi się odczytać dyskretnie jego numer, choć sądzę, że sami też by mi go chętnie podali. Ten telefon sprawił, że kiedy przyszedłem tam następnym razem, gospodyni była w tym samym i tak samo rozchylonym szlafroczku, wersalka była rozłożona i z pościelą na wierzchu, na stole stała flaszka i zakąska. Tylko Cześka, na szczęście, nie było.

— Żałuję teraz, że ci naraïłam ten kontakt — powiedziała mi którejs nocy.

Od razu wiedziałem, co ma na myśli.

— Dlaczego?

— Właściwie to mam mieszane uczucia. Z jednej strony rozumiem, że nie chodziłoby o pieniądze, którymi przecież moglibyśmy dysponować, jeśli ja je mam, lecz o pieniądze, które musi czuć przy sobie mężczyzna. Rozumiem to bardziej, niż myślisz. Ale wiem, że wrobiłam cię w smród, którego sama chciałam uniknąć.

— Gdzieś wyczytałem, że żigolak to najszczytniejszy zawód mężczyzny. Więc może nie miałbym oporów, aby być twoim utrzymankiem, jeśli bym był przekonany, że zasługuję na to?

— A poważnie?

— Liczy się to, że coś wreszcie robię dla poprawy własnego losu.

— Stajesz się jego kowalem?

— Po trochu. Coś wreszcie zaczyna załezć ode mnie. Nie jestem zdany wyłącznie na ustanowioną przez kogoś siatkę płac ani na uznaniową premię. Nie jest to wielki wysiłek, na który może nie byłbym w stanie się zdobyć. Lecz ryzykuję. Co się należy za nadstawianie dupy!

— Wiem coś o tym, kochanie.

Raskolnikowa złamał nie tyle śledczy Porfiry, ile jego własne sumienie. Znalazł się z nim sam na sam zaraz po dokonaniu morderstwa, gdy jego koncepcja filozoficzna stała się ciałem, a raczej dwoma ciałami, rozplatanymi jego siekierą. Nawet owocu zbrodni pozbył się natychmiast, gdyż zdał sobie sprawę, że nie będzie mógł zeń skorzystać. Cel przedsię-

wzięcia legł więc w gruzach już na samym początku. Mam nadzieję, że dobrze pamiętam.

Ja natomiast nie czulem żadnych wyrzutów, lecz tylko strach przed wykryciem, połączony ze strachem, czy otrzymam swą dolę i jaka ona ewentualnie będzie. Przed samym sobą mogę się przyznać do tego.

A przecież Kuleszę znałem, rozmawiałem z nim parę razy. Mogłem sobie wyobrazić, jak komando wymusza z niego zeznania, jak go morduje, jak leży on zmasakrowany w kałuży krwi. Może Erynie dopadną mnie później, gdy już przestanę się bać, kiedy przestanę myśleć, że ktoś z komanda wpadnie i wyda współników, w tym mnie. Oczywiście będę mówić, że nie wiedziałem, o co chodzi, że po prostu opowiadałem kolegom o bogatym facecie i ani mi w głowie było, że oni coś takiego...

A czy muszę mnie wyspać? Co im to da? Czy zrobią to ze strachliwej uległości, nakazującej iść we wszystkim na rękę śledczym, zaskarbić sobie za wszelką cenę ich fałszywą życzliwość? Czy może z zawiści, żeby nie tonąć samemu ze świadomością, że ja zostają na powierzchni? Zresztą — po co panika? Przecież nie muszą wpaść. Przecież to ja stwarzam największe zagrożenie przez to gadanie. Ale teraz tym bardziej nie mogę przestać.

Z Grzegorzem widzimy się codziennie, witamy się, ale nie rozmawiamy ze sobą. Aż któregoś dnia, gdy zostaliśmy sami na chwilę, powiedziałem, że chcę z nim rozmawiać.

— O czym? — zapytał.

— O Lisowczykach.

— A po cholere?

— Może cię to zainteresuje. Pytałem znajomego historyka. Nie jego okres, tłumaczył — musiałby sięgnąć do źródeł i opracowań, lecz mnie wystarczy tego, co on pamiętał, choćby i piąte przez dziesiąte. Otóż Lisowczycy byli najokrutniejszą formacją całej Wojny Trzydziestoletniej, co jest rekordem znacznym, zważywszy na jej charakter. Faktycznie zabierali tylko złoto i kosztowności, przez co w sumie zebrali znacznie więcej niż ci, co obciążali się drogimi sprzętami i innym

chłamed. Byli więc szybcy i sprawni, ale nie tylko dlatego. Wchodząc do jakiejś miejscowości mordowali natychmiast wszystkich, co do jednego. W żadnym szale. Niewiele ich obchodziła ta wojna od strony niematerialnej. Chodziło o to, by nikt ich nie rozpoznał, by nikt nie dał sygnału, że tu są i nie uprzedził innych.

Przez parę dni przymierzam się, żeby znaleźć się w firmie po południu, bez Jona, Mileny i kogokolwiek innego. Docent musi w tym celu wyjechać, wtedy tylko jest pewność, że go tutaj nie będzie. Kiedy jednak wyjeżdża, zaczyna mnie pilnować Milena. Niby miło, ale trudno mi przy tak intensywnym życiu biurowym wywiązywać się ze swych męskich zobowiązań wobec Leny i Jasi. A i Zocha jakby zaczęła sobie przypominać, że mąż służy nie tylko do wynoszenia śmieci.

Wreszcie na dwa dni przed powrotem Edka decyduję się. Gdyśmy się już z Mileną ubrali, uprzątnęli seksodrom, a ona wzięła się do wypisywania jakichś wuzetek czy faktur, oświadczyłem, że teraz „Sp. z o. o. SCENTIA” zostanie naciągnięta na rozmowę międzynarodową.

— Mów sobie, Rysiu, a ja nam zrobię herbaty. Troszkę żęśmy się zgrzali.

Ku mojemu zdziwieniu numer telefonu sprzed lat okazał się aktualny. Gdy spytałem: *May I speak to mister Knud Jensen?*, usłyszałem chrapliwą duńską angielszczyzną odpowiedź: *Yes, sir. Wait a moment, please.* To „sir” znaczyło, że mówię z telefonistką lub sekretarką. Awansował mój Knud? Potem usłyszałem parę słów po duńsku, jak zawsze nie do rozpoznania, lecz wyłowiłem wśród nich *herr professor Knud Jensen*. A więc faktycznie. A przecież to mój rówieśnik!

A potem było „hey, Knud” i „hallo, Dick”, i wzajemna informacja, że jest wszystko o. k., a jeśli chodzi o niego, to właśnie wrócił ze Stanów, gdzie przez rok był *visiting professor* i że nie pojechał na podobny kontrakt do Nowej Zelandii, bo mu się już znudziło włóczenie po świecie.

Tutaj zawiesił głos, co znaczyło, że trzeba przejść *ad meritum*.

— Słuchaj Knud, czy macie jeszcze ten wielki hall przy wejściu do gmachu?

— A cóż by z nim mogło się stać, do diabła? Mamy.

— A zaskodziłoby komuś, gdyby tam jakiś czas postało trochę aparatury naukowej?

— Nie sędzę. Komu by miało szkodzić? Ale co to za aparatura?

— Nieważne.

— Nie bardzo rozumiem.

— Dobra. Zacznę od samego początku. Knud, ja teraz pracuję w firmie, która dostarcza aparaturę naukową.

— Och, rozumiem. Nie sędzę, żeby czegoś potrzebowali, ale przyślij prospekty z ceną i warunkami dostawy. Zawsze coś może się przydać. Samej aparatury jednak nie przywoż. Na pewno się nie opłaci.

— Mnie się opłaci. Są różne inne względy.

— Dobra, to twój interes. Więc przyślij. A może byś sam przyjechał? Nie widzieliśmy się tyle lat...

— Może.

W tym momencie usłyszałem, że Knud się naprawdę ucieszył. Spytałem, czy uzyska zgodę dyrektora i usłyszałem, że przecież dyrektorowi też to nie będzie przeszkadzało. I nie ma co mu zawracać głowy. Na moje nalegania powiedział, że uzgodni to z szefem i zadzwoni do mnie niebawem. Czy mogę podać mu numer? Przespeliwałem i gdy chciałem się z nim umówić na rozmowę za jakiś czas, odłożył słuchawkę. A chodziło mi o to, żeby nie musiał rozmawiać przy innych następnym razem. Milena w końcu może być, bo nie zna żadnego języka. Na wszelki wypadek mówię jej, że załatwiam ważną sprawę dla „SCENTII”.

Knud dzwoni — dosłownie — po kilku minutach. Wszystko jest w najlepszym porządku. Dyrektor co prawda nie ma pojęcia, po co to wszystko, lecz hall jest duży i jeśli nie będzie przeszkadzać, to niech sobie tych parę aparatów postoi.

Teraz czeka mnie ciężkie zadanie wytłumaczenia mu, że musi napisać list na urzędowym blankiecie, że ma w nim być to a to i że dyrektor musi podpisać. Jego uczynność maleje, lecz czuje się zmuszony

mi to obiecać, a ja wiem, że zrobi, skoro obiecał.

Bardzo dziękuję Knudowi. Przeciagam jak mogę rozmowę, choć wiem, że on uznawszy wszystko za uzgodnione już by ją zakończył i wrócił do jakichś tam swoich zajęć. Chodzi zaś o to, aby się wprosić do niego do domu. Mam na końcu języka pytanie, czy nie mógłbym się u niego zatrzymać, lecz jakoś mi to nie przechodzi przez usta.

Długo więc mówię, że będziemy się musieli precyzyjnie umówić, bo tylko na krótko przyjadę, coś tam bez związku mówię o hotelu, czuję, że się zacinam, że mój angielski staje się niezrozumiały, ale Knud wyławia z potoku słów „hotel” i mówi, żebym w hotelu nie stawał, bo on ma nowy wielki dom nad brzegiem Sundu w dzielnicy Hellerup i jeszcze go nie zdołał zapełnić dziećmi. Robi mi się lekko, mój angielski od razu dostaje skrzydeł. Dziękuję mu wylewnie za zaproszenie, czego on nie rozumie i pytam o te dzieci, albowiem pamiętam jedno.

— Och, już mi się płacze, cztery czy pięć. Ela się ucieszy, że będzie ci je mogła pokazać.

Przez te dzieci — wyjaśnia — zdecydował się na dom tuż przy brzegu z kawałkiem własnego piaseczku. Znam Hellerup, bo tam, też nad morzem, daleko na północ od stoczni i portu, mieści się nasza ambasada, w której kiedyś skamlałem o przedłużenie paszportu. Dzielnica rezydencjalna, bardzo wysoko notowana.

— Dorobiłeś się, Knud, gratuluję ci.

— Nie ma czego, Dick. Co za dorobek? Stałem się niewolnikiem banku. Zapewniam cię, że wy jednak macie rację.

— Jaką rację?

— Że to straszny system ten kapitalizm.

Potem jeszcze słyszę, abym z wystawą zdążył przed Bożym Narodzeniem lub przywiózł ją dopiero w połowie stycznia, bo on z całą rodziną wybiera się na Bahama Islands.

— Dzień dobry, ja od pana Czeska. Chyba uprzedzał pana?

— A tak, tak, pamiętam. Pan Józef, Józef...?

— Pietrzak.

— Ach tak, pan Pietrzak. Już panu daję dla Czeska.

A więc i tu się Czesiek skumpulował. Zastanawiam się, co mi ten facet wyniesie. Ja tym razem otrzymałem od kuriera stary model aparatu „yashica”, więc tu dostanę radio tranzystorowe lub magnetofon, ewentualnie nieco większych rozmiarów kalkulator. Mężczyzna przynosi jednak ortalionową kamizelkę, grubo pikowaną, z kołnierzem w kształcie wałka. „No no, tu może być sporo towaru” — myślę. Teraz sto dwadzieścia dolarów dla człowieka i biznes gotów.

W czasie objazdu dostaję oczywiście radio, magnetofon, kalkulator, ale też jakieś części garderoby, szkatułkę z sandałowego drzewa, parę puszek kakao i mleka w proszku. Walizka z tym zestawem nie powinna budzić zastrzeżeń celnika, jeśli nie budzi zastrzeżeń pasażer. Lub jeśli na cle nie ma psa, uczulonego na zapach opium. Na przystani koło browaru Tuborg nie ma na pewno. Przy schodzeniu z polskiego promu znudzony celnik może najwyżej szukać wódki.

Ja jednak będę leciał samolotem i nie wezmę ze sobą tego bagażu. Zbyt wiele nazytałem się i naoglądałem o tych narkotykach, by ryzykować zawał na międzynarodowym lotnisku Kastrup.

Robię teraz — za ekstra szmal — za prawą rękę Czesława. Zbieram towar od takich koników jak ja, aby mu potem go hurtem przekazać.

Łącząc przyjemne z pożytecznym w ciągu kolejnych wizyt u Jasi wszystko rozszyfrowałem. Właściwie to większość opowiedział mi sam podczas mojej pierwszej wizyty. Zrozumiałem, że on faktycznie może nie zdążyć z odbieraniem towaru od takich „przekazników” jak ja, ale mógłby to być tylko wykręt dla kontrolera i płatnika zarazem w Kopenhadze. Lecz Czesiek chyba nie miał takich zamiarów i dlatego denerwował się kontrolą, której nie było, a której istnienie dopuszczał, jako że nie czuł się wobec swych mocodawców

w porządku. Ale tylko jako mało operatywny.

Wyczuwając to przy następnym spotkaniu zaproponowałem mu, że skoro i tak znam już niektóre adresy, to mogę czasem po koleżeńsku zabrać stamtąd przesyłki i wręczyć mu hurtem. Żeby nie tracił czasu, a miał go raczej dla Jasi, która jest przecież wspaniała. Mam nadzieję, że nie zdawał sobie sprawy, że walory Jasi znalazłem już nie tylko z widzenia. A może go to naprawdę nie obchodziło?

Na propozycję wyreki przystał z zadowoleniem. Oświadczył jednak, że w biznesie nie ma niczego za darmo. Odpalił mi z tego dole, gdyż dostaje fundusz na różne dodatkowe usługi. Zastrzegł się tylko, abym nie chodził stale pod te same adresy. Koniki muszą wiedzieć, że Czesiek jest ich zasadniczym odbiorcą, a ja co najwyżej pomagierem.

Odpowiada mi to. Dzięki rotacji adresów poznaję zapewne wszystkie kontakty Czeška, a jest ich ponad dwadzieścia. Już wiem, że jestem w stanie zebrać towar od wszystkich.

Mam więc stronę warszawską rozpracowaną i w rękę. Teraz trzeba uzupełnić dane kopenhaskie, w związku z czym właśnie mam uzasadnienie dla dalszych wizyt u pani Jasi.

W czasie kolejnych pobytów na jej werśsalce dowiaduję się, że Czesiek brał ją parę razy na prom. Była z nim w Kopenhadze, a nawet raz czy drugi odnosiła towar i zgłaszała się po pieniądze. Nie pamięta, jak się nazywa ulica, ale trafiłaby z zawiązanymi oczami. To duża brama, idąc od centrum po lewej, a z tej bramy wychodzi się na przecznicy. Facet, który odbiera, ma ksywę „Miętuś”.

Długa rozmowa, a właściwie to taka gadka-szmadka, między innymi o ksywach, doprowadza do tego, że wiem, iż Czesiek to „Okoń”. Widać gustują w rybach w tej sieci.

Czeška i jego biznes mam w garści. Przyczółek mostowy w Kopenhadze jest załatwiony, lecz najważniejszy próg wciąż przede mną. Edward Waldemar Jon. Od niego zależy, czy rzecz cała dojdzie do skutku.

Któregoś dnia biorę go więc na kawę do barku naprzeciw naszego biura. To jakby nasza filia. Tam chodzimy, gdy trzeba czasem spokojnie pogadać. Zaproszenie oznacza także, że ma się konkretną sprawę. Szef zgadza się, lecz pyta, czy mogę to odłożyć na popołudnie. Wyjeżdża dziś do Poznania i ma teraz dużo roboty. Oczywiście, że mogę.

Wiem, że EWJ nie lubi owijania w bawełnę, więc od razu mówię, że można by zorganizować wystawę naszego sprzętu w Kopenhadze.

— A po cholere?

Reakcja jest jak najbardziej zasadna. Mam taką dyżurną wystawę, którą taczyczymy po różnych międzynarodowych kongresach naukowych w Polsce. To się nazywa promocja. Z zagranicznych nikt jeszcze niczego nie kupił, ale krajowcy rzucali się jak szczupaki na przynętę, by dowiedzieć się, że to prototyp. Parę prostych rzeczy: sączków, filtrów udało się jednak kilku instytucjom zakupić. Wystawa była też wiele razy doczepiana do polskiej ekspozycji na targach w bratnich krajach, w zminiaturyzowanym zestawie jeździła raz czy drugi również na Zachód, lecz sprzedawaliśmy tam bardzo niewiele.

— Po pierwsze — odpowiadam — na pewno nie zaszkodzi to firmie.

— To już jest coś, ale to jeszcze mało.

— Koszty będą bardzo niewielkie.

— Jakież?

— Głównie złotówkowe. Dla mnie bilet lotniczy w obie strony i cargo na LOT, też w obie strony. To nie jest duża suma. Tam mam gdzie spać i mam za co jeść. Dasz dwie diety i trochę na bardzo drobne wydatki i starczy.

— Jedną.

— Niech będzie jedną.

— Lecz dlaczego mam ponieść te, choćby niewielkie, wydatki? Tylko po to, abyś pojechał do Kopenhagi?

— Nie liczę na taką bezinteresowność. Firma, która wychodzi na szerokie wody międzynarodowej współpracy... no wiesz. Redaktor Irma L. napisze w swoim poczytnym organie: „Kopenhaga, jedno z ważniejszych centrów europejskiej

i światowej nauki. Miasto Nielsa Bohra. W tym tak ważnym punkcie wymiany myśli naukowej zdołała się uplasować ze swą ofertą jak zawsze prężna SP z o.o. „SCENTIA”, kierowana przez doc. dr. hab. Edwarda Waldemara Jona. Nie trzeba dowodzić, że wejście z najwyższej klasy aparaturą naukową na tak wymagający rynek... Wystarczy, czy mam mówić dalej?

— Wystarczy, wystarczy — Jon pokładał się ze śmiechu. Redaktor Irma była jego wielką miłością przed laty, a on pozostał jej jedyną — nie odwzajemnioną już nigdy — miłością na całe życie. W związku z tym kiedyś wielokrotnie figurował jako bohater sprawozdań „z pracowni młodych uczonych”. Potem parę razy już jako autorytet i mentor wypowiadał się w teście najbardziej liczącej się gazecie na temat nauki w ogóle, kształcenia i postaw młodzieży, moralności naukowców, ich odpowiedzialności za losy świata i tak dalej. Odkąd zaś wymyślił „SCENTIE”, jej idea i realizacja była pilotowana przez redaktor Irmę bardzo starannie. Tylko roztargnieniu kierownictwa redakcji i nieuwadze czytelników wypada zawdzięczać, iż nikt dotąd nie zwrócił uwagi, że za dużo tego Jona i jego „SCENTII”. On sam, pytany przez nas, odpowiadał, że nie; bo zapada się w ten sposób w podświadomość. Ludzie się przyzwyczajają, że coś jest, a skoro jest, to pewnie jest ważne.

— To co, Edek — pytam go, gdy się już obśmiał, a wiem, że starego gangstera dobrze jest czasem rozśmieszyć — zapadamy w tę podświadomość? Przysłałbym Irmie parę zdjęć z tej wystawy...

— Jest to do rozważenia, Rysiek. A powiedz mi, czy nie byłoby dobrze, gdybym razem z tobą wpadł choć na kilka godzin, by otworzyć tę wystawę? Potem możesz sobie tam zostać.

— Nie, Edek — mówię z rezygnacją. — Nie byłoby dobrze. Byłoby całkiem niedobrze, gdybyś to zrobił. Mam mówić szczerze?

— Jak chcesz. To twoja sprawa.

— Nie będzie żadnego otwarcia. Parę osób, przechodząc przez hall instytutu, w którym kiedyś byłem na praktyce, rzu-

ci okiem na te szpeje, wzruszy ramionami i pójdzie dalej.

— Dlaczego?

— Bo to nie ich specjalność. To w ogóle nie jest żadna specjalność, ta nasza wystawa i ty to wiesz lepiej ode mnie. W tym miejscu na ten sprzęt nie trafi nikt, kto by go potrzebował. A gdyby nawet, to nie ten sprzęt, bo jest on przestarzały, marnej jakości i praktycznie nie do zrobienia, gdyby jakiś bałwan chciał go naprawdę kupić. Na mnie przy nim nikt nie zwróci uwagi, a ty byś się skompromitował, gdybyś pojechał na uroczyste przecięcie wstęgi.

— Przekonałeś mnie. Nie pojedę.

Czuję ulgę. Plan się rozsywał, ale to znaczy, że nie czeka mnie ten trudny próg, że nie stoję przed napięciem i ryzykiem. Jakoś to będzie, zwłaszcza że już teraz nie jest najgorzej...

— Dobrze, to jedź.

— Dokąd?

— Jak to, dokąd? O czym my cały czas rozmawiamy? Do Kopenhagi.

— Aha...

— Nie zasypiaj, proszę cię, Rysiek. Ja już muszę pędzić na dworzec. I co do forsy... Ze złotówkami nie ma problemu. Załatwiał. Z dewizami jest gorzej.

— Mówiłeś. Poradzę sobie.

— To dobrze. Ale trochę ci dam. Hotel nie, bo masz gdzie mieszkać, a musiałbyś przedstawić rachunek. Dostaniesz cztery diety. No, pięć. Jakoś tam przebidujesz te dwa tygodnie. Skombinuj, żeby choć jakiś biuletyn duński o nas napisał.

Zaczętem mu dziękować, ale mi prze-rwał.

— To dlatego, że byłeś szczerzy. A to weź i sobie w domu przesłuchaj.

— Co to takiego?

— To co widzisz. Kaseta.

Edek odjechał, a ja zrobiłem sobie mały spacer pod biuro. W oknie świeciło się, zasłona była zaciągnięta. Jon pewnie już wyjeżdżał z Warszawy i wiedząc to wcześniej chciałem się nawet umówić z Mileną na wieczorny seans biurowy, lecz powiedziała, że jest dziś do późnej nocy zajęta. Późna noc nie jest zbyt dobrym miejscem na miłość biurową, jeśli się tego nie robi

w całkowitej ciemności. Czasem bowiem milicja, widząc świecące się okna, lubi sprawdzić, co ludzie robią w biurach nocami.

Zadzwoiłem i nie czekając na reakcję zacząłem otwierać drzwi, by przekonać się, że były zamknięte na zasuwę od środka.

Trwało dłuższą chwilę, nim usłyszałem kroki i zanim otworzył mi Grzegorz.

— Przeszkadzam ci? — spytałem.

— Jak masz interes, to chodź.

— Nie mam, zobaczyłem światło, więc pomyślałem sobie, że zajrzę.

Grzegorz milczał, wyraźnie nie zachęcając mnie do wejścia. W ostatnich czasach nasze stosunki bardzo ostygły. Skończyły się już wódeczki z Rafałem lub tylko we dwóch.

— No więc? — spytał ponuro Grzegorz.

— Wejdę na chwilę — powiedziałem, choć wiedziałem, że powinienem odejść. — Mam z tobą do pomówienia.

Bez słowa wpuścił mnie i zaryglował znów drzwi. Wszedłem na górę. Na sekso-dromie nie było już poduszek, zostały w nieładzie rzucone na krzesła i na podłogę. Nakrycie było sfłoczone na sobie, lecz ja rozpoznałem bezbłędnie, że to na parę bi-siadników. Poza tym dostrzegłem, że okno na półpiętrze nie było szczelnie zamknięte.

— No to wyjmij tę flachę, jeśli zostało — powiedziałem.

— Zostało.

Wypiliśmy po jednym i Grzegorz rozlał ponownie.

— Chciałeś mi coś powiedzieć.

— Powiedz mi, Grzesiek, dlaczego choć ty jej nie zaprosisz do siebie. Przecież masz wolną chatę do dwudziestej drugiej.

— Przyszedłeś, żeby się o to spytać?

— Nie możesz, czy nie chcesz mi odpowiedzieć, to nie.

— Nie chcę, ale odpowiem. Mówiłem, że to nie jest moja chata. Teraz nawet was już bym tam nie mógł przyjąć. A ślady po kobiecie inna kobieta wypatrzy. Wiesz już wszystko, co chciałeś?

— Myślałem, że już zarobiliście dosyć, żebyś miał na hotel-motel.

— Widać nie zarabiam tak łatwo jak ty. Poczekaj. Jest dziś chłodno na dworze.

Podszedł do okna na półpiętrze, wychylił się i zawołał cicho:

— Milena!

Gdy Milena się pojawiła, powiedział z niezadowolaniem:

— Myślałem, że już sobie poszłaś.

— Myślałam, że szybko znów będziesz sam i mnie zawołasz.

W tej chwili zobaczyła mnie, lecz postarała się ukryć zmieszanie.

— To nie był najlepszy pomysł, Grzesiek. Jeszcze bym chwilę postać i sobie poszła.

— Bałem się, że będziesz tam marzła godzinę. Ten nie potrafi krótko powiedzieć, o co mu chodzi.

Zupełnie nie wiedziałem, o co mi chodzi, co mam powiedzieć i czułem, że Grzegorz to wie.

— To nie jest zręczna sytuacja, chłopcy — powiedziała Milena. — Ale dajcie szybko kielicha, bo jednak zmarzłam. Podwiało mnie, jak wkładałam majtki i buty na dworze.

Gdy wypiliśmy, powiedziała:

— Wszystko popsuliście obaj. Jak dwa koguty. Ty — to było do mnie — niepotrzebnie włąziłeś, jak wiedziałeś już, o co chodzi. A ty, Grzesiu, niepotrzebnie mnie wołałeś. Było dobrze jak było i już nie będzie. Nie zabawimy się teraz we trójkę, bo to wypić prawie nie ma już co. A przede wszystkim nie wyczuwam ja tego luzu, który byłby przy tym niezbędnym.

A gdy chwilę pomilczeliśmy jeszcze, powiedziała:

— No, ciekawe, które z nas pierwsze wyjdzie. Chyba ja, to może się pogodzić.

Lecz nie ruszyła się z miejsca. I Grzegorz też. Więc wstałem, powiedziałem „dobranoc” i nie słysząc odpowiedzi, wyszedłem. Usłyszałem za sobą łoskot gwałtownie zamykanego rygla.

Złapałem taksówkę i pojechałem pod dom Leny. Między zasłoną a szybą stał kaktus — znak, że nie jestem teraz oczekiwany. Zapłaciłem rachunek, a potem kazałem znów złamać chorągiewkę i zawieźć się na Targówek. Było mnie w końcu już stać na to, do jasnej cholery!

— A jak wyobrażasz sobie zakończenie tej działalności? — spytałem kiedyś, gdy Lena coś mówiła o swojej obecnej profesji.

— *Panis bene merentium.*

— Cóż to takiego?

— Chleb dobrze zasłużonych. Czyli dostatek, na który się zapracuje. Swoista emerytura.

— Kiedy?

— Chyba nie aż w późnej starości, lecz doprawdy trudno mi to powiedzieć. Człowiek rzadko uważa, że nie potrzebuje mieć więcej i ciągle czuje pokusę. A może jeszcze raz i jeszcze trochę pieniędzy?

— Wydawało mi się, że to jakoś bardziej docelowo.

— Mnie się też tak wydawało. Widzisz, istnieją dwa obrazy prostytutki. Taka, która się stacza i przeważnie nieszczęśliwie umiera, jeśli przedtem nie przeżyje odrodzenia moralnego... *katharsis* i takie różne... Czasem już przed samą śmiercią, którą okupuje swe grzechy. Druga, to taka, która okresowym nierządem wybija się na światową damę, albo dorabia sobie na cnotliwe życie w przyszłości, przeważnie tak urządzone, by zatrzeć wszystkie ślady występku.

— Rozumiem, że wybrałaś i realizujesz ten drugi wariant?

— Tak. Drugi be, bo światową damą chyba nie będę. I, jak widzisz, realizuję skutecznie. Ale pomyślnie zakończenie wymaga pewnych warunków. Trzeba uskładać tyle pieniędzy, aby móc je włożyć w jakiś pewny i dochodowy interes. Nierząd ma dostarczyć kapitału zakładowego.

— No tak. Czy jeszcze go nie masz?

— Zależy, na co. Ale nie o to chodzi. Otóż podchodząc handlowo — a jakże inaczej do biznesu? — wszystkie te butiki, pralnie, jakieś pracownie przemyślałam i obgadałam, i jakoś mi to nie pasuje.

— Przyniosłoby mniej pieniędzy?

— Niekoniecznie. Ale byłoby mniej efektywne.

— Zabawne, co mówisz.

— Dla mnie nie bardzo. Z punktu widzenia kogoś, kto tkwi na państwowym etacie, może to wyglądać inaczej. Najlepszy etat jest gorszy od najgorszego biznesu. Lecz ja nie jestem na etacie. Nie na-

haruję się, mówiąc otwarcie, a kwestie moralne mam jakby już rozstrzygnięte. Rok w tę, rok w te...

— A we własnym biznesie trzeba się nabiegać.

— Strasznie. Masz do czynienia z prywatnie, to wiesz. Ale nie to jest najgorsze. Może bym i biegała, gdyby to miało jakąś perspektywę, gdybym wiedziała: przegram i wypadnę lub wygram i będę kimś, kto się liczy, jest otoczony szacunkiem nie tylko dla swoich pieniędzy. Te mam i teraz. Ale jak mam być prywatnie, traktowaną tak samo jak prostytutka, to po co? Teraz przynajmniej mało kto o mnie wie i Inspekcja Robotniczo-Chłopska mnie nie odwiedza w miejscu pracy.

— Trochę naciągasz, Lena.

— Ale tylko trochę, Rysiu. Jako *call-girl* jestem naprawdę niezależna. Klientów dobieram eleganckich, poza tym nikt do mnie niczego nie ma. Wiesz, ile trzeba się naupokarzać, jak się prowadzi taki interes?

— To znaczy nie ten, który prowadzisz?

— Nie. Mam na myśli prywatną przedsiębiorczość poza rolnictwem! Mówię teraz poważnie. Trzeba się cały czas pilnować, bez przerwy coś tam naruszać i wiedzieć, że zawsze mogą cię wzięć za dupę, kiedy podpadniesz. Stałe łapówki i prezenty. Z jednej strony boisz się dać, a z drugiej wiesz, że każdy patrzy twoich pieniędzy. To, co mam teraz, wydaje mi się mniej obrzydliwe. Nie jestem widać przesadnie uczulona akurat na temat szóstego przykazania... Słuchaj, Rysiu. A właściwie to po co ta cała rozmowa? Żle ci z tym, co robisz? Przecież nie jesteś związany.

— Na swój sposób może i jestem...

— Czy to jest jakaś deklaracja z twojej strony? Jeśli obecność Jona cię dopinguje, to sobie odpuść. Między mną a tobą nic się nie zmienia.

— Powiedzmy, że to nie deklaracja, a pytanie. Czy gdybym się okazał niezgodny z urzędowym na Zachodzie facetem, już wkrótce... Czy przyjechałabyś do mnie?

— Bo ja wiem? Może...

Po paru dniach, kiedy Lena się kąpie, bez pukania otwieram drzwi łazienki

i wchodzę. Wyobrażałem sobie, że będzie się jak diwa nurzać w kłębach piany, lecz leżała w przezroczystej wodzie, co jakby jeszcze bardziej przyjemne, bo wszystko widać.

— Czemu zawdzięczam? — pyta z uśmiechem, bez żadnych wstydlivych gestów.

— Chciałem sprawdzić, czy zamykasz się przede mną w łazience.

— Zatem sprawdziłeś.

— To może przynieść ci tu coś do picia?

— Tego pragniesz najbardziej?

— Wiesz przecież, że nie.

— No to włącz tutaj. Jakoś się zmieścimy oboje.

Mieścimy się nie „jakoś”, ale wręcz luksusowo. W sanacyjnej wannie okazuje się jeszcze więcej miejsca niż w tej w „Forum”, w której kiedyś taplałem się z Jolką z kwestury. Swoją domową wannę, w której mój starszy syn już się nie może wyciągnąć, przypomniałem sobie dopiero po jakimś czasie, gdy ochłonęliśmy nieco.

— Dobrze było? — pytam, jak na dżentelmena przystało, choć tym razem akurat już w trakcie miałem dowody, że było dobrze. Burżuazja miała niezły pomysł, budując takie łazienki i z takimi lustrami, choć to ostatnie to już może inwencja powojennych mieszkańców.

— Z tobą zawsze jest dobrze. Nawet wtedy, przed laty, było mi dobrze, tylko myślałam, że przyzwoita panienska tego nie okazuje.

— Do dziś byłaś ze mną trochę jak taka panienska. Skąd teraz ta zmiana?

— To był eksperyment.

— Udany?

— Jak najbardziej.

— Co było badane?

— Widzisz, Rysiu, w życiu nie ma niczego za darmo. Można powiedzieć, że mam luksusową i lukratywną robotę. Nie wycieram się po ulicach i barach, nie szarpie się z kurwami za klaki, nie siaduję na dołkach. Pracuję pod dachem, w komfortowych warunkach, konwersując w obcych językach...

— A samo zajęcie jest nawet dosyć przyjemne. Pora jednak na „ale”.

— Jest „ale”. Przyjemne z pożytecznym

daje się tu godzić tylko do czasu. Można się przesypiać z sympatycznymi panami i przy okazji miewać z tego korzyści. Lecz konsekwentna profesjonalizacja niedobrze wpływa na seks.

— Obrzydzenie?

— Nie przesadzajmy. Na tym poziomie odbywa się to w końcu dość elegancko. A jakby mnie brzydziło, to poszukałabym jednak innego zajęcia. Chodzi o to, że seks wyprany z wszelkiej emocji, zachowujący jedynie odrobinę towarzyskiej elegancji, powszednie, przestaje być atrakcyjny. A w moim przypadku znaczy to, że prawie przestają cokolwiek odczuwać.

— Szkoda!

— No właśnie. Nie jestem nimfomanką, nie mam w tej dziedzinie nadmiernych potrzeb, lecz przecież stałam się normalnie rozbudzoną kobietą, której seks dość dużo dawał. Okazało się, że tylko w połączeniu z jakimiś uczuciem. A tu czułam, że tracę ten rodzaj satysfakcji, w końcu istotny. Nie uważasz?

— Uważam.

I znowu daliśmy praktyczny wyraz naszemu poglądom. Potem została przeze mnie zaordynowana zmiana mebla.

— Jeśli chcesz, to możemy na futrzaku — powiedziała.

— Chcę. Czy to dalszy ciąg eksperymentu?

— Jak najbardziej. Widzisz, idziemy na całość.

I faktycznie poszliśmy na całość, tak że o dalszy ciąg wypowiedzi z wanny upomniałem się dopiero podczas śniadania.

— Po paru miesiącach — mówiła Lena — niezależnie od cudzoziemców dewizowych, których obsługiwałam, zaczęłam sobie ucinąć jak dawniej zwyczajne romansiki z różnymi panami.

— To jakby listonosz po pracy chodził sobie na spacer.

— Niezupełnie. Z nimi mi znowu było dobrze. Byli może jak ty nieco zawiedzeni moją parafianstwą w łóżku, ale chciałam, żeby było inaczej. Wolałam nawet spotykać się z nimi w ich mieszkaniach czy gdzieś wyjeżdżać, ale wiesz, jak to jest u nas. Główną przeszkodą w życiu

emocjonalnym jest brak lokali. Więc prze-
ważnie kończyło się u mnie. W moim
„miejscu pracy”.

— I to cię paraliżowało?

— Tak jakby. Tak uważałam. I stąd ten
eksperyment, żeby się wreszcie rozluźnić.

A ponieważ, jak już powiedziała, ekspe-
ryment wypadł pomyślnie, status mój
u niej zmienił się nieco. Podała mi szyfr
jej zamka na drzwiach wejściowych. Mo-
głem odtąd przychodzić bez zapowiadania
się. Miałem jednak — jak dotąd — spoj-
rzeć przedtem z ulicy na okno w sypialni.
Gdyby zasłona była zaciągnięta, a między
nią i szybą stał duży kaktus, wówczas
miałbym nie wchodzić.

Nie byłem przekonany, że dawniejszy
tryb odwiedzin, z samych początków na-
szych odnowionych kontaktów, tryb, przy
którym mogłem nie wiedzieć, kto i kiedy
u niej przebywa, był gorszy. Już nie byłem
widać jej przelotnym romansikiem, co mo-
że i schlebia, ale — jak przed laty — za
związkiem z Leną zaczynała się na mnie
czaić odpowiedzialność, którą zresztą sam
wywołałem.

Odkąd Milenę przydybałem w „SCEN-
TII” z Grzegorzem, nasze stosunki stały
się nieco napięte. Nic nie mówiliśmy na
ten temat, ale żadne z nas nie zapropono-
wało drugiemu zostania po pracy w
biurze. A gdy przyszedłem pewnego dnia
wiedząc, że ją tam zastanę, zmieszła się.

— Cześć, Rysiek. Jakoś tak głupio wy-
szło. Może się rozmówimy jak ludzie?

— Po to właśnie przyszedłem. Słuchaj,
Milena. Czy ja ci może zrobiłem krzywdę?

— Nie. Czemu pytasz? Tak odebrałeś to
z Grześkiem?... Wiedziałeś przecież, że ja
cały czas z Edkiem i jakoś ci to nie prze-
szkadzało.

— Nie o to mi chodzi, Milena. Nikt nie
jest święty. Chodzi mi o to. — I kładę
przed nią kasetę. — To jest moja rozmowa
z Kopenhagą. Wiem, że nie znasz
angielskiego i powiedziałem ci, o co cho-
dzi. Prawdę ci powiedziałem. Ale ty pod-
łączyłaś magnetofon do drugiego aparatu
i nagrałaś całą rozmowę, a potem dałaś

Edkowi. Czy ktoś ci ją choć przedtem
przetłumaczył?

Milena robi się purpurowa i ma wielkie
łzy w oczach.

— Co za cham! Co za kawał chama!

— No widzisz. Dajesz mu dupy, włazisz
mu w dupę i ma on tam ciebie. Warto ci
było robić mi świństwo, aby tylko mu się
przygodobać? Widzisz, jak on traktuje
twoją lojalność?

Milena płacze, a mnie to zupełnie nie
rozczuła i dodaje, aby ją dotknąć:

— A chcesz wiedzieć, co osiągnęłaś
w ten sposób? To, że Jon właśnie wysła
mnie do Kopenhagi, choć bałem się, że
tego nie zrobi.

I tu Milena wpada w niezrozumiałą dla
mnie histerię.

— Ty durniu! — krzyczy. — Ty parszy-
wy idioto! Może myślisz, że weźmiesz ze
sobą Lenę?

— A co ma z tym Lena wspólnego, mo-
że mi powiesz?

— No tak! — wrzeszczy Milena, której
wcale nie podejrzewałem o takie reak-
cje. — Zaciągnąłeś tę kurwę do „SCEN-
TII”, żeby ją tu wystawić! Myślisz, że nie
wiem, z czego ona żyje? Z czego żyjesz ty,
alfonsie? Wydajesz numerki czy rozda-
jesz jej wizytówki? Mało jej było, musia-
ła u nas dorabiać tłumaczeniami?

— Stul mordę, Milka, bo ci ją zaraz
rozbiję!

— Jej rozbij, bo daje dupy, a nie bierze
pieniędzy. Jesteś jej alfonsiem, nie moim! —
powiedziała to cokolwiek ciszej niż przed-
tem, ale z nie mniejszą złośliwością.

„Cóż się, do jasnej cholery, stało? —
myślałem. — Przecież było tak klawo, we-
soło. Taki bezproblemowy seks. Miła ko-
leżeńska atmosferka... w tym... no, trudno
nawet powiedzieć, że łożku. Co ją obcho-
dzi Lena?”

— Czyżbyś była zazdrosna? — pytam.

— A co, myślałeś, że nie?

— Nigdy mi nie mówiłaś o żadnym
głębszym uczuciu do mnie. Umawialiśmy
się, że to tylko dla frajdy.

— Czekaj, czekaj. Coś ty powiedział?
O ciebie? O ciebie bym była zazdrosna?
Dobry sobie. Przecież to chodzi o Edka!
Tobie to może obojętne, czy tę Lenę po-

suwa jeden więcej, czy mniej, ze mną jest inaczej. No, co tak się gapisz!? Naprawdę myślałeś, że chodzi mi o ciebie?

Naprawdę tak myślałem, chociaż tylko przez chwilę. Ale czuję, że nie jest mi obojętne, co jest między Edkiem a Leną.

— Uspokój się, Milena, głupio zrobiłem, że ją tu sprowadziłem, ale nie tobie na złość. Raczej już sobie.

— A co ty mnie w ogóle obchodzisz? Przecież Edek stracił dla niej głowę. Już dla niego nawet pogotowiem seksualnym nie jestem. Nie widzi mnie! Ale poczekaj, a zresztą niech ona poczeka. Do ciebie naprawdę nic nie mam, ale ona niech lepiej uważa!

Po paru dniach Grzegorz wręczył mi kopertę.

— Schowaj szybko — powiedział. — To twoja dola.

Pobiegłem do kibla, by sprawdzić, ile tam było. Niecałe cztery setki dolarów. Zrobiło mi się niedobrze, gdy pomyślałem, że to pieniądze Kuleszy, którego przecież znałem. Może to za dostawę do „SCENTII” podkładek laboratoryjnych z gumy odpornej na olej? Ładnym gestem byłoby, gdybym podarł i spuścił z wodą te dolce. Nie przyjąć ich i zostawić im więcej do podziału? Machnąłem ręką i wyszedłem, przedtem chowając dolary i spuszczać wodę, żeby inni słyszeli.

Czesiek też nie wie, ile Miętus płaci za jego dostawę. Forsa jest w papierowej torbie, oklejonej paskami, tak że nie ma szans, by można było tam zajrzeć nie zostawiając śladów. Odbiorca forsy też jej nie liczy przy Cześku, lecz wypłaca mu, ile się należy. Mówi też, gdzie i kiedy trzeba będzie w Warszawie wysłać koników. Nie zna Warszawy, każdy z blisko stu punktów ma u niego swój numer.

Kasę tam robią dopiero po wyjściu Cześka, bez jego udziału. Wtedy dopiero mogą ustalić ewentualne niedobory. On woli jednak ich uprzedzić i mówi sam, czego tym razem nie przywiózł. Kiwają głowami i już się nie wraca do tego tema-

tu następnym razem. Co jakiś czas melduje im, że właśnie nadrobił zaległości, co mogą sprawdzić po stanie kasy. Wówczas też kiwają głowami.

Z Cześkiem się już nie spotykamy na trzeźwo, lecz właściwie to pijemy tylko dla towarzystwa. Wiem, czego chcę. Nie podpytuję o adres, pod który odnosi on w Kopenhadze pieniądze. To mnie zupełnie nie obchodzi. Wystarczy, że wiem, skąd je bierze.

Tu, w Warszawie, za jednym obrotem Czesiek wypłaca nam w granicach dwóch tysięcy dolarów. Jaki to może być procent tego, co za to wypłaca Miętus? W najgorszym dla mnie przypadku aż dziesięć, ale zakładam, że dużo mniej. Ta zaklejona koperta nie robi mnie bogaczem na Zachodzie. Ale mogę mieć za nią to, czego inni dorabiają się tam po długich latach harówki i wyrzeczeń. Na pewno przyzwoity dom z wyposażeniem, odpowiedni samochód i kredyt na dom, samochód i wszystko. Tym łatwiejszy do uzyskania, im więcej się ma na koncie. Oczywiście nie w Danii, nie w Skandynawii. Za blisko tych, którzy będą czekać na te pieniądze. Ale świat jest rozległy dla tego, kto je posiada, a nie są one znowu tak wielkie, by mieli mnie z ich powodu szukać za wszelką cenę.

Dobra, zatem idę na całość. Jako Pietrzak od pana Cześka objeżdżam wszystkich koników. Przy pierwszym, nie wiem dlaczego, mam tremę, choć przecież już byłem u niego. Wydaje mi towar jak zawsze. A ja mu płacę stawkę czując, że to już z własnych. Mam wrażenie, że wyrwam sobie spod serca, ale w końcu coś za to kupuję! Jaka to zresztą musi być ta część całej przesyłki, te parę dolców, które my dostajemy?

Człowiek dziękuje i patrzy na mnie wy-czekująco.

— Miejsce i czas podam panu za trzy — cztery dni. Będę musiał przyjść tu specjalnie.

— Tak, tak, rozumiem, proszę bardzo. Jest wyraźnie zaniepokojony. Dlaczego? Może myśli, że się go odstawia od interesu?

— Niech się pan nie martwi, przyjdę na

pewno. Tylko trochę później niż dziś. Gdzieś tak koło dziennika.

Konkret zawsze działa uspokajająco.

Z całodziennym urobkiem jadę do domu, gdzie na szczęście nie ma Zochy i chłopców. W wakacje zawsze daje się poznać i nawet dom robi się miły i pożyteczny. Biorę żyletkę i zestaw małych śrubokrętek elektrotechnicznych, płaskich i krzyżowych. Schodzi mi dobry kawał wieczoru, zanim mam wyciągnięty zestaw starannie zaspawanych woreczków z nieprzezroczystej grubej folii. Żadnego zapachu przez nią nie czuję, ale w końcu nie jestem psem.

Nie otwieram żadnego, zakładam, że to jest to, skoro za każdym razem Czesiek płacił dolary.

Nie śpieszę się, wiem, że EWJ jeszcze siedzi w firmie. Skręcam więc pracowicie porozkręcany sprzęt techniczny, aby rozbebeszony nie budził podejrzeń. Zostanie w domu, niech chłopcy mają uciechę. Pocięte łachy pakuję do worka nylonowego, by je wyrzucić do jakiegoś śmietnika dalej od domu. Do niewielkiej torby podróżnej ładuję woreczki, przygotowany zawczasu dobry zagraniczny przyklepek, nożyczki, żyletki i użyte już raz śrubokręty.

Kiedy podjeżdżam pod firmę na tyle blisko, aby zobaczyć jej okna, widzę, jak gaśnie w nich światło. Oczekuję, dopóki nie widzę garbusa, którym odjeżdża Edek.

Wchodzę, zapalam światło, zaciągam zasłony. Edkowi odsłonięte okna nie przeszkadzały. Drzwi wejściowe są zamknięte. Gdyby Edek zawrócił, czy przyjechał ktoś z kolegów — jedno i drugie już mało prawdopodobne — zdążę schować dowód rzeczowy w postaci woreczków. Sama moja obecność będzie mi zaliczona na plus. Jeszcze raz sprawdzam stojące już w skrzyniach eksponaty przed jutrzejszą wysyłką.

Rano pojedę na Okęcie, gdzie cargo już jest zamówione. Naukowej aparatury celnik u nas nie będzie bebeszył — są uczuleni raczej na przywóz niż wywóz, a w Danii nie będzie jej wahał żaden pies. Gdy dzień później przylecę do Kopenhagi, skrzynki już będą na miejscu, czekając, aż je rozpakuję. Woreczki wyj-

mę, kiedy zechcę, w ciągu parodniowego pobytu u Knuda.

Dzwoni jakaś kobieta i rozdrażnionym głosem prosi docenta Jona. Nie żona, bo jej głos poznaję. Awanturuje się, że Edka nie ma, widać wie, że tu siaduje wieczorami. Potem ktoś nie może dodzwonić się z automatu. Potem jeszcze jakieś dwa damskie telefony do Edka. „Chyba przesadza z tymi babami” — pomyślałem.

Nikt nie przychodzi do firmy, gdy odbijam specjalnie słabo przybity bok skrzyni i odkręcam boczną ściankę upatrzonego zawczasu oscylografu. Nie ma w niej żadnych gniazdek, pokręteł, wskaźników, jest tylko masywny uchwyt, który okazuje się przymocowany do konstrukcji wewnętrznej. Ładuję do środka i przyklejam wszystkie woreczki. Lepiej, by wszystko było w jednym aparacie, niż w każdym po trochu. Następnie zakręcam wszystko z powrotem. Chytry jestem. Wkręty mają łebki krzyżowe. Każdy krzyż ustawiam w innej pozycji i na kartce rysuję sobie schemat. Nieprawdopodobnie, aby po drodze ktoś tu zaglądał do środka, lecz jeśli się to przydarzy, będę wiedział.

Kończąc, odpręgam się. Teraz papierosa i jazda. Gaszę światło, po ciemku otwieram drzwi wejściowe, wychodzę, zamykam je. Wpierw na kilka skomplikowanych zamków, potem wieszam ogromną kłódkę. Edward Waldemar lubi także tradycję.

Przekręcam klucz w kłódce i czuję, czuję, że ktoś za mną stoi. Nie słyszałem, zgrzytając zamkami, jak podchodził, lecz wiem na pewno, że jest. Coś mnie jak najdosłowniejsz łąpie za serce i ściska. Stoję nieruchomo jak bałwan, z nosem w drzwiach, i nie mam siły, by się odwrócić, by chociaż odwrócić głowę.

Ktoś lekko trąca mnie w ramię.

— No, Rysiu — słyszę głos pana Czeska. — Gdzie towar?

Milczę.

— Gdzie towar?!

W głowie mam absolutną pustkę. Wpadam w panikę i tylko myślę, co on teraz może mi zrobić.

— Nooo?!

W jego głosie czuję i wściekłość, i prze-

rażenie. Jego strach cuci mnie nieco. Razem jesteśmy zagrożeni.

— Co z towarem, skurwysynu?!

— Czeka na ciebie.

— Gdzie?

— U mnie w domu.

— Czemu nie odpowiadasz od razu?

— Zaskoczyłeś mnie. Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem?

— W domu ciebie nie było, a tu słyzałem twój głos przez telefon.

To był więc ten głuchy telefon. Czemu przyjechał przed czasem? Czy podejrzewał mnie?

— Czemu zebrałeś towar?

— Jak zawsze. Żeby ci pomóc.

— Nie prosiłem ciebie tym razem.

— Chciałem ci ułatwić, żebyś miał czas.

— Takiś uczynny?

— Jak widzisz. Liczyłem też, że jak zawsze coś mi za to odpalisz...

— A nie chciałeś może podpieprzyć całego towaru?

— Jakbym chciał, tobym podpieprzył i nie mówił ci, gdzie on jest, tylko dał wcześniej nogę.

— Nie wiedziałeś, że wcześniej przyjadę.

— Wiesz co, Czesiek? Weź to w cholerę i już mi nie płac ekstra. I na przyszłość sam sobie biegaj i odbieraj. Dobrze?

— Jedziemy do ciebie — powiedział ponuro.

W samochodzie nie mówiliśmy ani słowa. Było mi niedobrze na myśl o tym, co będzie się działo w domu, lecz nie mogłem nic sensownego wymyśleć.

Weszliśmy do mieszkania. Wyjąłem z szafki magnetofon, aparat, radio i kalkulator.

— Masz!

— Reszta! — warknął. Czuję jednak, że się trochę odprężył.

— Łachy są w szafie na ubranie. Siadaj, zaraz przyniosę.

Usiadł. Poczul widać trochę zaufania. Zaczęłam sobie przypominać, ile było jeszcze przesyłek poza tym sprzętem technicznym. W przedpokoju otworzyłem szafę ścienną, tak by drzwi zasłaniały mnie przed jego wzrokiem. Zaczęłam wyjmować kawałki garderoby. Takie, w których mo-

głyby być zaszyte te cholerne woreczki. Niestety musiało pójść parę dobrych ciuchów, lecz tylko przez chwilę ich żalowałem.

„A jeśli on wie dokładnie, jakie to były rzeczy?” — pomyślałem.

— Długo jeszcze, do kurwy nędzy?!

— Nie drzyj się. Szukam ci jakiegoś worka.

Faktycznie złapałem jakiś worek i zacząłem w nim wszystko upychać. A potem z dolnej szuflady, gdzie trzymałem podręczne narzędzia, wyjąłem ciężką żabę do rozkręcania rur i wsunąłem ją do cholewy prawego buta zimowego.

Wróciłem i podałem mu worek.

— Wszystko?

— Zobacz.

Pochylił się nad workiem, rozsuwając go, a ja postawiłem prawą nogę na niskim stołku. Schyliłem się, podciągnąłem nieco nogawkę i prawą ręką ścisnąłem uchwyt żaby. Czekałem na jego reakcję.

— No, dobra.

Opuściłem nogę i poprawiłem nogawkę. Łapałem kolejne parę minut.

Podczas wsiadania otworzyłem mu prawe drzwiczki i podtrzymałem je, czekając, aż wlezie z workiem, do którego wpełznął też wypatroszony przeze mnie sprzęt techniczny.

Zatrzasnąłem drzwi i obchodząc malucha od tyłu szybko wyjąłem z cholewy żabę. Lewą ręką otworzyłem lewe drzwi. Nie wsiadając tąże ręką zacząłem rozplątywać skręcony jak zawsze pas bezpieczeństwa kierowcy. Pochylając się do dolnej jego części położyłem szybko i cicho żabę na podłodze za przednim siedzeniem. Ruszyliśmy.

„Po co ja to zrobiłem? — zadawałem sobie pytanie, rzucając co chwila spojrzenie na siedzącego po prawicy Czeška. — Przecież już było całkiem niezłe. No, w każdym razie o wiele lepiej, niż przedtem”.

Faktycznie, ze związków z komandem chyba się wygrzebałem. Przecież nie będą tak głupi, by korzystać dalej z moich adresów. Naraża to mnie, ale również i Czeška. A każda wpadka jest dla komanda niebezpieczna. Sam Grzesiek po-

wiedział, że dadzą sobie spokój z informacjami ze „SCENTII”. „No, może jeszcze jeden raz, ale inaczej” — powiedział. Co ten bydlak miał na myśli? Zresztą, nieważne. Oni prędzej czy później wpadną. Muszą, ale nie sypną mnie chyba. Po co mieliby obciążać siebie dodatkowym napadem? Niechby więc wpadli. Ja mam swoją spokojną działkę. Miałem — pomyślałem z uczuciem nagłego żalu.

— Ty, dokąd jedziemy? — spytał z pewnym niepokojem Czesiek, gdy dojechawszy Borzymowską do Wincentego skręciłem nie w lewo, w stronę Ronda Starzyńskiego, lecz w prawo, w kierunku Bródna.

— Przejedziemy przez Most Grota i zaraz na Wisłostradę. Jechałeś kiedyś tamtędy?

Kiwnął głową, że nie. To dobrze. Nie znał Warszawy. Mam mało czasu, by zdecydować, co robię dalej. Trzeba by go jakoś podpytać. By zyskać na czasie, zwalniam w sposób niedostrzegalny. Myślę sobie teraz, że powinienem był wejść w trwały układ z Czeskiem i przejąć od niego jego działkę w Warszawie. Zawsze to parę dolarów więcej, a wzrost ryzyka minimalny. W każdym razie nie taki, jak teraz.

Życie i tak zrobiło się już nieco luźniejsze. Niezależnie od tej historii z Leną, Mileną i Jaśką, zaczął się podryw na delegacjach, na które chętnie teraz jeździłem. Dobry hotel i tak mi płaciła firma, ale ja tam teraz schodziłem do restauracji, a nie wymykałem się już do baru mlecznego. Poza tym palę możliwe papierosy, piję też lepsze rzeczy. A przede wszystkim ubrałem się lepiej. Nie garnitur i krawat, tylko ciuch peweksowski. Ale to pewność siebie zapewniła mi lepszy wygląd bardziej, niżli ubranie. Jak ktoś ma w kieszeni parę zielonych, to wyczuwa w nim to portier, kelner, sprzedawca, recepcjonista. No i kobiety. Niby nic się nie zmieniło poza tym, że mam się odwagę odezwać. I każda miło mi odpowiada. Dwie na trzy przyjmują zaproszenie, nie tu, to tam. Co druga daje, a nie napraszam się zbyt. Całkiem niezgorszy prze-rób!

Zocha też oczywiście musiała dostać pa-

rę łańców. Na dom jej daję niewiele więcej, ale sam często coś dobrego przynoszę, a jak mi się zaczyna skarżyć, to wyjmuję piątala i daję. Kapuje, szelma, że muszę coś kombinować, ale woli nie wiedzieć, a ja nie mówię. Daje mi tylko do zrozumienia, że jest ze mną. Mniej wrzeszczy i jęczy, nie goni już tak do różnych robót w chałupie i nie wyrzeka, że nigdy mnie nie ma. Rozumie, że jak wychodzę, to nie tylko sobie użyję, lecz coś w dziobie przyniosę. Nie warto mnie trzymać w klatce.

Ale co najważniejsze, choć może nie takie już ważne, to to, że się nam w łóżku trochę zaczęło zmieniać. Nie kładzie się już z kremem i w papilotach, nie wycina sobie przy mnie skórek na palcach u nóg. Przed położeniem się do łóżka nie jęczy profilaktycznie, że pada na twarz, że ją boli głowa i nie syczy na mnie ze złością, gdy ją w łóżku obejmę.

Mało tego. Parę razy sama zaczęła. Trochę nieśmiało, ale ją zachęciłem. Bardziej mi zależy teraz na Lenie i tych nowych, ale co sobie będę w domu robił tyły u baby? W końcu robota to nie męcząca i przyjemna, bo obojgu nam trochę zaczęło za-leżeć i lepiej wychodzić. Jakbyśmy znowu byli na tym etapie, zanim zaszła pierwszy raz w ciążę.

Cholera, już trzeba by wiedzieć, co z Czeskiem, a mnie ciągle głupoty w głowie! Chociaż nie takie głupoty. Parę razy byliśmy u teściów z lepszymi prezentami i te stare ramole przestały wyrzekać, że najukochańsze ich dziecko wyszło najgorzej za męża. A jak chłopaki dostały parę gadżetów, którymi mogą się pochwalić w szkole, to nagle stary się zrobił równy.

Teraz jednak uświadamiam sobie, że dom ten jest nadal ciasny i że to ciągle jest slums. I że nawet ryzykując — było nie było — kryminałem nie zmienię tego. A gdybym nie pozwolił sobie na ten luz, a wszystko dusił, to co najwyżej miałbym nowego malucha z giełdy po prawie roku dalszego biedowania.

— Słuchaj, Czesiek.

— Czego?

— To było jakieś nieporozumienie. Niepotrzebnie się denerwowałeś.

— Ciągłe myślę, że chciałeś mnie wykiszkować i nawiązać z towarem.

— Dokąd? Nie pomyślałeś? Przecież ty jeździsz, ty masz kontakty. Co ja bym z tym cholernym towarem tu zrobił? To nie kompot, żeby go ćpunom sprzedać w pasażu za domami „Centrum”.

— Żebyś ty wiedział, jaka to forsa!

— Domyślam się mniej więcej.

Brak odpowiedzi. Zastanawiam się, co dalej. Który z nas będzie wcześniej na Vesterbrogade 65? Nie mogę go teraz spytać o jego plany. Zresztą może mnie oszukać. Nie mogę ryzykować, że pojawię się tam później niż on z jego aparatami bez proszku. Zresztą Czesiek będzie wiedział, że go oszukałem i już będą mnie szukać. Od razu zacząć się ukrywać? Gdzie, jak? A jeśli wcześniej zechce on sprawdzić, czy dostał wszystko, co się należało?

— Słuchaj, Czesiek.

— Czego?

— Chyba lepiej, żebyś nie mówił tam...

— Gdzie tam?

— Nie wiem! U jakichś szefów. Ty ich znasz, nie ja! Dla mnie ty jesteś szefem.

— No, to czego mam im nie mówić?

— No, o tej całej historii dzisiaj. Lepiej dla mnie i pewnie lepiej dla ciebie. Po co mają być podejrzenia?

— Jeszcze pomyślę, jak sprawdzę cały ten towar. Wciąż ci nie wierzę do końca.

W złą dla siebie godzinę to Czesiek powiedział.

Jak zawsze postawiłem malucha o sto metrów od domu Leny i poszedłem piechotą. Odruchowo wpierw spojrzałem w górę na okna. Były zasłonięte. Między zasłoną a szybą stał kaktus.

Cholera! Znów klient?

I wtedy zobaczyłem, że pod samą bramą stoi garbus Jona. Docenta doktora habilitowanego dyrektora Edwarda Waldemara Jona!

Zupełnie w tej chwili nie myślałem o Czesku, który już pewno sztywny, ze strzaskaną podstawą czaszki leży w krzakach nad Kanałem Żerańskim za Bródnem. Znajdą go może rano, ale nie będzie miał dokumentów. A może poleży tam parę

dni? Zima, mało kto tędy chodzi. Trochę potrwa, zanim się okaże, że go brakuje w Świnoujściu i zanim go zidentyfikują. Swoją drogą dobrze wyszedł mi ten cios w ciasnym pudle malucha. Pamiętałem, by nie przesadzać z rozmachem, lecz raczej wałnąć krótko, a z siłą. I nie z góry, a z tyłu. Nie powinno być śladów w wozie, zresztą nikt ich nie będzie szukać. Nikt mnie z Czeskiem nie będzie łączył, poza panią Jasią, która nie zna mojego adresu.

Powinienem coś przeżywać. W końcu własnoręcznie zabiłem, lecz myślałem tylko o Jonie u Leny.

Co jest między nimi? Co oni tam robią? Co za pytanie, skoro jest dla mnie znak, by nie wchodzić. Jak śmiała?! No dobrze, a klientów to znosiłem spokojnie, chociaż niechętnie. Z klientem to nie zdrada? Rozumuję zupełnie jak alfons!

Ukryty na ławeczce pod drzewem po przekątnej od bramy zastanawiam się, czy nie wejść mimo znaku. No dobrze, ale co powiem, jak nic złego tam nie zastanę? A jak ich zobaczę parzących się w łóżku czy na jakimś innym meblu, to mam odegrać scenę rogacza?

Zobaczyłem — wciąż siedząc — że otwiera się górna część drzwi. Człowieka, który wychodził, nie zobaczyłem, bo go zasłaniał volkswagen. Zaraz Jon wsiądzie doń i odjedzie. Ale to nie był Jon. Zza garbusa wyłonił się wolnym krokiem Herr Weinman.

W hallu szafy otwarte, część garderoby na podłodze. Nikogo nie ma. Drzwi od łazienki uchylone, lekki bałagan. Nikogo nie ma. Kuchnia splądrowana nieco bardziej, lecz również nie ma w niej ludzi. Na wołanie: „Hej, jest tam kto?” nikt nie odpowiada. Wiem, że to coś strasznego będzie w salonie, lecz salon jest w porządku. Drzwi komódek pouchyłane. Na stoliku otwarta torebka Leny. Zwitek zielonych papierków obok.

W sypialni rozbebeszone łóżko, pościel na podłodze. Szafy otwarte, ubrania powyłwane. Nikogo. W szafie, w bocznej ścianie, jest skrytka pancerna. Otwarta.

W środku znajdują zwitek zielonych. Nie liczę, lecz widzę, że to nie majątek. Trochę biżuterii, lecz w umiarkowanej ilości. I spięty spinaczem plik zawiadomień z Banku PeKaO na Czackiego. Jestem bardzo podenerwowany, lecz sprawdzam ostatnie. Stan konta coś około dwóch tysięcy dolarów.

Wracam do salonu i już wiem wszystko. Na białym futrzaku koło okna wielka brudnoczerwona plama. Ciężka portiera u dołu nie zwisa jak zawsze swobodnie. Widać, że coś za nią jest.

Napada mnie chęć, żeby wyjść stąd szybko, nie zaglądając. Lecz nie wychodzę. Nie podchodzę również do okna. Na razie wyjmuję magnetofon...

Jon był wyraźnie wciśnięty pod kaloryfer. Leżał trochę na boku, tyłem do pokoju. Miał na sobie te co zawsze spodnie i sweter. Na swetrze między łopatkami jakaś ciemnobrunatna plama. Nie wiem, czy wlot czy wylot. Spod niego wyciekła krew, która zrobiła plamę na futrzaku.

Mówię sobie, że to może już wszystko, lecz wiem, że oszukuję sam siebie...

Lena jest jakaś dziwnie powykręcana. Naga. Na całym ciele ma jakieś plamy w różnych kolorach i nacięcia. Ręce wykręcone do tyłu i związane ręcznikiem. Drugim ręcznikiem ma przewiązane usta. Na twarz, lekko odwróconą, nie mam odwagi spojrzeć.

Powinienem czuć rozpacz i strach, lecz czuję jedynie mdłości. Puszczam zasłonę i wymiotuję na nią i na futrzak. „Będzie dowód rzeczowy” — myślę jakoś tak obojętnie. Po Czešku mnie nie chwyciły mdłości, choć to ja sam... Wycieram usta zasłoną. Czuję się lepiej. Przychodzi strach. Żadnego żalu, żadnej rozpacz.

To idiotyczne, lecz myślę z pewną satysfakcją, że skoro Edward jest ubrany, to pewnie do niczego z Leną nie doszło. A może nie zdążyło dojść? Może Weinman zastał go tu na samym początku jego wizyty i od razu zastrzelił? A może Jon przyszedł po nim — może znał szyfr, bo przecież ten by nie pozwolił Lenie go wpuścić — i został natychmiast zastrzelony. Czemu zaś Lena jest naga? Może się

jeszcze rozebrała dla Edka, czy sprawił to tak czy inaczej Weinman.

Świadomość, że najprawdopodobniej bestialsko mordował on Lenę, podczas gdy ja siedziałem pod domem, mogąc w każdej chwili otworzyć drzwi, nie wywołuje we mnie wyrzutów wstydu i oburzenia na samego siebie. Przecież Weinman mógł mnie zabić jak Edka, albo może nawet jak Lenę. Łączył nas ze sobą w tej sprawie, a ją uczynił współniczką czy w każdym razie odpowiedzialną. Lecz przecież zna mnie! Szuka mnie teraz pewno po mieście, a nie znalazłszy wróci tu.

Ruszyłem ku drzwiom. Tej nocy w mieście szukają mnie. Milicja nie wie jeszcze, że ma kogokolwiek poszukiwać. Może się nigdy nie dowie, że chodzi o mnie. Ale ten typ wie, kogo szukać. Wie wszystko. Przecież dopiero dziś zebrałem towar za Czeška i już włączył się jakiś alarm. „Aparat jest na to przygotowany” — tak skurwysyn powiedział. „Likwiduje się w zarodku”. Właśnie się likwiduje. Zna mój adres, zna numer samochodu...

Zawracam od drzwi. Odślaniam Edka tak, żeby nie zobaczyć już Leny. Z wypchanej kieszeni na tyłku sterczy mu stary skórzany portfel. Drugi trup, którego dziś rewiduję. Jakies papiery, mało pieniędzy, dokumenty, wreszcie wyciągam kartę rejestracyjną garbusa. Niestety, po kluczyki trzeba sięgnąć do bocznej kieszeni spodni. Myślę, że wpierv byłoby może lepiej przeszukać jego kurtkę, która wisi zapewne w hallu, przecież bez niej nie wyszedł, ale już znajduję kluczyki. Wybiegam.

Dyrektorski rżęch zapala od pierwszego obrotu kluczyka i zaraz płynnie i lekko rusza. Jak na starego volkswagena — jest nawet cichy. Siedzenie wygodne, nie zniszczone. Myślę o tym samochodzie. Może ta ruina z zewnątrz to taka sama poza, jak wypchane sztruksy, a w środku wszystko na medal?

Lecz myśl o tym pojeździe każe mi go zatrzymać po kilkuset metrach. Przecież pierwszy lepszy patrol zanotuje, jakim wozem jechałem i będzie wiadomo, że użyłem jego samochodu w noc, w którą został zamordowany! A co z moim? W mo-

im grozi mi Weinman. W domu grozi mi także.

Uświadamiam sobie, że najbezpieczniej-
sze dla mnie tej nocy jest mieszkanie Leny z dwoma nieboszczykami. Mógłby Weinman tam na mnie ewentualnie czekać, zakładając, że jestem współnikiem Leny. Lecz skoro wyszedł, to chyba nie założył, że spędzę tam noc! A gdyby nawet, to nie wejdzie ani nie włamie się z trzaskiem i wyciem. Nie ma zapewne sprzętu, który bierze na robotę komando. Wpuściła go Lena, niczego nie podejrzewając. A ja przecież zmienię ten szyfr, jeśli mu go podała.

Przed porzuceniem volkswagena wycieram szalikiem kierownicę, klamkę wewnątrz i na zewnątrz, gałkę dźwigni bie-
gów. W salonie Leny wycieram kluczyki i portfel Edka, nim mu go schowam do portek. Wydaje mi się, że teraz mógłbym już na nią popatrzeć, ale nie robię tego.

— Posiedzę lepiej w kuchni — mruczę do siebie.

— Tylko spokój — nakazuję sobie i sprawdzwszy, że i tu zasłona jest szczelnie zaciągnięta, biorę się do parzenia kawy.

Źle jest, bardzo niedobrze, lecz przecież — nie bez wyjścia, jak dotąd. Powtórzmy sobie to jeszcze raz. Z Cześćkiem szybko mnie nie skojarzą, jeśli w ogóle. Najpewniej jest, okazuje się, załatwiać swoje sprawy samemu. Leny nikt szybko szukać nie będzie i nikt inny sam tu nie wejdzie. Jon? Pewno się poumawiał z masą ludzi na jutro, lecz nikogo nie zdziwi, jeśli wszystkim nawali. Dzień jego nieobecności w „SCENTII”, nawet nie zapowiedzianej, jeszcze nie budzi obaw. A jeśli zacznie go szukać rodzina i nikt niczego nie będzie wiedział? Ile potrwa, zanim zaczną kojarzyć go z Leną? Milena to może przyspieszyć, lecz chyba też nie na tyle, by w ciągu doby włamywać się do mieszkania Leny...

Dalej. Cargo do Kopenhagi wykupione, mój paszport z wizą i biletem są w porządku. W Kopenhadze wyjmę jakoś ten towar już pierwszej nocy, bo muszę go

jeszcze poupychać po różnych kłopotach, w których ma być, jak zawsze, ukryty. Trzeba je tylko wyjąć z mojego malucha. Miętus dostanie towar i da pieniądze. Z tych opowieści nie wynikało, żeby był on w sieci Weinmana. Zaś Weinman sądzi raczej, że skoczę z towarem w szeroki świat lub tu go zakitram na dłużej. Nie wie przecież, że znam dojsście do Miętusa. A jeśli wie lub się domyśla i tam się na mnie zasadzi? Trudno, jakieś ryzyko być przecież musi. Najgroźniejszy jest dla mnie Weinman w Warszawie. Dlatego lepiej w domu się już nie pokazywać. Dolarzy dla Zochy zostawię u teściów i powiem, że wyjeżdżam na parę dni. Starczy tego na długo, potem im doślę.

Będzie mnie szukał w „SCENTII”? Mogę zadzwonić i powiedzieć, że przyjdę później. Byle nikt mu nie powiedział, że lecę do Kopenhagi. To jest, niestety, też to cholerne ryzyko!

Największe stwarzam sobie sam tą kaseta. Gdzie ją przechowam? A może wreszcie ją zniszczę? Skończyły się żarty, panie Rysiu! Już od dobrej chwili są schody.

I ta wystawa. To do mnie należy odwiezienie jej na lotnisko i odprawa. Ale mogę poprosić Grzegorza. Źle jest już między nami, lecz w zasadniczych sprawach lojalność nas przecież obowiązuje...

Uwaga, uwaga! Spieszę się, by zdążyć to nagrać! Przed chwilą ktoś zajechał przed dom. Zgasilem światło. Wyrzałem. Białe fiat kombi. Numeru nie widać, lecz pewnie i tak kradziony. I tak go porzuca. Grzegorz. Grzegorz Matyja ze „SCENTII” i trzech. To komando. To na pewno komando. Lisowczycy, kurwa ich mać! On odszedł, a oni weszli.

Chyba ich słyszę u drzwi. O Boże, trzeba było próbować wybiec. Zastaną dwa trupy, zostawią trzy... Nie sądziłem, że tak strasznie będę się bał... Może nie zauważą kasety... Kto znajdzie, niech wie. To nadał Grzegorz, Milena... Rafał nie, Rafał się wycofał. Głównie Grzegorz, a właściwie ja sam...

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 0



— Uczciwa praca! — wybucham. — Znasz może, Rafał, uczciwą pracę dla fachowca po studiach, który się nie boi roboty, nie ma dwóch lewych rąk? Ale taką, żeby w dziesięć lat po dyplomie nie mieszkał w mrowiskowcu, żeby się nie gniótł z rodziną w skorodowanym maluchu, który ma limit benzyny na trzysta trzydzieści kilometrów miesięcznie, żeby mógł pojechać raz z rodziną nad Morze Czarne i nie musiał handlować...

— Poczekaj, Rysiek — przerywa mi Rafał — bo ja mam pytanie za więcej punktów. Znasz może taką pracę, dla takiego samego fachowca, żeby mógł mieszkać nawet w mrowiskowcu, ale tylko z żoną i dzieckiem, a nie u teściów, i żeby nie musiał przed każdym pierwszym pożyczką od starych? Już nie powiem, żeby mógł uskładać te ćwierć miliona, by kupić takiego trupa jak twój maluch i pojechać nim z rodziną chociaż pod namiot...(...)

— Panowie, raczej wypijmy i już nie pieprzcie tak dłużej. Trzeba coś zrobić albo pomówić na inny temat!

— No, to co proponujesz, Grzesiu?

— Skok!